CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 5 LIPCA 1936 R. NR. 22

Kazimierz Zakrzewski

Idea obrony

Trudno publicyście, który niedawno kruszył kopje z p. Aleksandrem Świętochowskim i prof. Olgierdem Górką, samemu sięgać po argumenty z arsenału doświadczeń XVIII w; trudno pisarzowi bezwzględnie przekonanemu, że upadł w XVIII w. naród żywotny i zdolny do dalszego rozwoju, podnosić pewne fakty, które znajdowałyby się w stosunku pozornej niezgodności i niekonsekwencji do niedawno głoszonej przez niego tezy.

Dlatego wypada zacząć od ustalenia jeszcze raz „tezy upadku" (jak to określił p. Górka), celem uzyskania punktu wyjścia dla tez dalszych, na których sformułowanie cierpliwy czytelnik musi jeszcze nieco zaczekać. Między stwierdzeniem żywotności narodu, a związaniem faktu upadku z jego wewnętrznym stanem niema sprzeczności. Nadal jesteśmy przeświadczeni, że upadł w XVIII w. naród żywotny, upadł dzięki najazdowi zewnętrznych potęg, które zagarnęły w drodze zaboru jego ziemię (w drodze zaboru, a nawet w drodze podboju, bo jeśli w r. 1772 Rzeczpospolita nie była zdolna do przeciwstawienia się zaborowi, to w r. 1794 czynnie broniła się najazdowi rosyjskiemu i pruskiemu i upadła w następstwie przegranej wojny). Jednakże uważamy (i temu daliśmy wyraz, akceptując szereg stwierdzeń prof. Górki), że ustrój społeczny, gospodarczy i polityczny Rzplitej szlacheckiej nie mógł zapewnić narodowi polskiemu możności skutecznego przeciwstawienia się zaborcom. Aby się ostać, naród polski musiał zmienić swe formy ustrojowe, a upadł dlatego, że nie zdążył tego dokonać.

I teraz — bez sprzeniewierzenia się własnej tezie żywotności narodu — możemy pójść dalej w naszem rozumowaniu. Staje się dla nas jasne, dlaczego — jak to lapidarnie stwierdza prof. Górka — mogło „13 tysięcy conajwyżej średniego wojska rosyjskiego hulać po tej Polsce z drugiej połowy XVIII w., jak chciało i trzymać za łeb 12-miljonowe państwo, jak się podobało" — gdy „mieliśmy na to miljon samej ludności szlacheckiej". Ludność ta była rozbrojona. Wyjaśnienie zaś faktu jej rozbrojenia nie można szukać tylko powierzchownie w słabości i zaniedbaniach rządów polskich, poczynając od śmierci ostatniego króla-wojownika, Sobieskiego (a „potop" w połowie XVII w.?).

Oczywiście były to złe rządy, nieudolne, a nieraz nawet — jeśli chodzi o rządy saskie — pełne złej woli, celowo przyczyniające się do osłabienia powierzonego im państwa. Oczywiście musiało doprowadzić do katastrofy utrzymywanie organizacji wojskowej XVIII w. z podyktowanem Polsce ograniczeniem stanu sił zbrojnych przez państwa sąsiednie, gdy z drugiej strony Rosja i Prusy przygotowywały stałe, regularne, nowoczesne armje, uzbrojone w karabiny i korzystające z udoskonaleń technicznych i organizacyjnych, jakie do nas nie dotarły. Nie łudźmy się jednak, że wystarczyłyby rządy patrjotów, np. szlachetnego wygnańca z Lotaryngji, króla Stanisława, aby ten stan rzeczy zmienić. Podobnie jak instytucje polityczne, tak samo i organizacja wojskowa państwa polskiego była funkcją ustroju społecznego i gospodarczego, który doprowadził Polskę do upadku. Polska stworzyła sobie takie instytucje polityczne i taką organizację wojskową, jakie odpowiadały klasie panującej, t. j. według określenia wprowadzonego już nie przezemnie do „Narodu i Państwa", kartelowi plantatorów zboża, który nie potrzebował ani silnego rządu, ani zawodowej biurokracji, ani stałej armji, zdolnej do prowadzenia długich wojen i nietylko do odpierania wojsk obcych, ale i do podbojów, np. do zdobycia Krymu, jako jedynie skutecznego rozwiązania kwestji najazdów tatarskich. Niepodległość nie była zabezpieczona, bo realnie nie była panującej klasie potrzebna; nie znajdowała przekonywującego uzasadnienia w jej interesach socjalnych i ekonomicznych (oczywiście mowa tu o faktycznej, nie formalnej niepodległości).

Szczycimy się dzisiaj, że Polska szlachecka nie prowadziła wojen zaborczych. W dobie haseł pacyfistycznych taka tradycja narodowa może wydawać się istotnie chlubna. Niemniej jednak musimy stwierdzić, że pacyfizm szlachecki wypływał z przesłanek egoizmu klasowego. „Plantatorzy" unikali wojen, aby spokojnie oddawać się „strzyży owiec"; dlatego też nie chcieli nadać państwu silnej organizacji politycznej i wojskowej, że zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakieby z tego wypływały dla ich klasowych interesów, z przemian w strukturze społecznej i gospodarczej, jakie pociągnęłoby za sobą ustanowienie „absolutum dominium" — od czasów reformacji, aż do rewolucji francuskiej, najbardziej postępowej formy ustroju państwowego. Ba, „naród szlachecki" wykazywał niejednokrotnie, że woli obcego gwaranta „złotej wolności", t. j. zespołu warunków społecznych, odpowiadających jego klasowym interesom, aniżeli własny rząd, warunki te naruszający.

*

Historja nie powtarza się. Mamy dzisiaj silną organizację wojskową i państwową, wyrosłą z ostatniego, zwycięskiego okresu walk niepodległościowych, związaną z postacią Piłsudskiego, a ugruntowaną w

ostatniem dziesięcioleciu, znowuż za rządów „dyktatorskich" Marszałka. Doświadczenia historji upadku Polski nie poszły na marne. Dzięki doświadczeniom dziejowym ustaliło się w Polsce przeświadczenie, że może się ona rozwijać tylko jako czynnik silny, mający ambicję do odgrywania roli mocarstwowej, a do tego potrzebne są dwa podstawowe warunki: silny i trwały rząd i utrzymane na odpowiednio wysokim poziomie wojsko.

Czy jednak przy zapewnieniu tych formalnych warunków „mocarstwowości", możemy uważać, że dostatecznie zabezpieczyliśmy rozwój narodu, położonego w najbardziej niebezpiecznej sytuacji gospodarczej, jakiej napróżno szukalibyśmy bodaj na całym świecie? Na to pytanie musimy odpowiedzieć negatywnie. Bo inaczej nie byłoby chyba powodu do postawienia przez Wodza Naczelnego na pierwszym planie zagadnień państwowych sprawy przygotowania tego właśnie zabezpieczenia; nie miałoby racji wysunięcie tej sprawy na naczelne miejsce w hierarchji zadań rządu i całego społeczeństwa, gdybyśmy wiedzieli, że to sprawa załatwiona i że na tym najważniejszym odcinku niepotrzebna jest szczególna czujność (poza normalnem jego pilnowaniem).

Dlaczego jednak samo formalne rozwiązanie zagadnienia silnego i trwałego rządu w połączeniu z wytężoną, wieloletnią pracą nad udoskonaleniem naszego wojska — które stanowi przedmiot podziwu obcych i naszej dumy — nie wystarczy; dlaczego jeszcze potrzebna jest szczególna czujność i konieczne jest rozwiązanie palących zagadnień, związanych z obroną ojczyzny?

Sprawa ta ma aspekty zewnętrzne i wewnętrzne. Na zewnątrz świat nie stoi w miejscu. Prądy rewolucyjne, jakie opanowały Rosję i Niemcy, doprowadziły do rezultatu — po r. 1918 może niespodziewanego, — że siła tych dwóch mocarstw nietylko została odbudowana, ale nawet wzrosła w zestawieniu z siłą monarchji Romanowych i Hohenzollernów. Tutaj analogja z XVIII wiekiem jest uderzająca. I wtedy Rosja i Prusy weszły na drogę unowocześnienia swej organizacji państwowej, podczas, gdy w Polsce konserwatywna republika szlachecka broniła się przed wszelkiemi reformami wewnętrznemi. Dla pełności analogji odrzućmy kryterja formalne, t. j. polityczno-ustrojowe, a wciągnijmy w zakres rozważań kwestję ustroju społecznego i gospodarczego. Konserwatyzm szlachecki w dawnej Polsce był to konserwatyzm warstwy, chroniącej się przed zmianami ustroju społeczno-gospodarczego.

I tutaj z aspektem zewnętrznym wiąże się aspekt wewnętrzny spraw polskich. W innych warunkach historycznych i geograficznych konserwatyzm szlachecki nie byłby może taki groźny dla bytu narodowego; w położeniu Hiszpanji Polska mogłaby się opóźniać z reformami społeczno-ustrojowemi i zwolna stosować się do przemian, zachodzących w świecie zewnętrznym. W sytuacji polskiej nie można było z przemianami się spóźnić, trzeba było innych uprzedzić a nie zostawać w tyle.

Rząd i wojsko muszą mieć szeroką bazę społeczną, a bazy tej obóz rządzący w Polsce stworzyć dotąd nie może ze względu na tamujące jego rozwój i paraliżujące jego wolę oddziaływania czynników konserwatywnych. Mówiąc o czynnikach konserwatywnych, mamy tu na myśli nietylko grupę, która sama siebie tak mianuje, ale wszystkie te czynniki, które stoją na gruncie zachowania dotychczasowego ustroju społeczno-gospodarczego, a więc i te sfery poglądów, których chorążym jest płk. Matuszewski i wszelkie, nawet operujące antykapitalistyczną frazeologją, czynniki endeckie.

Analogja z XVIII wiekiem polega na tem, że czynniki zachowawcze uważają, iż zabezpiecza rozwój Polski trwanie przy jej zastałym ustroju społecznym i gospodarczym i przeciwstawiają się przebudowie wadliwej struktury społeczno - gospodarczej. Oczywiście nie rzucamy tutaj demagogicznej insynuacji, że świadomie lekceważą sprawę całkowitego przygotowania kraju do odparcia niebezpieczeństw zewnętrznych. Głośne wystąpienie p. Jana Bobrzyńskiego było na szczęście odosobnione i nie chcemy obarczać niem całości czynników konserwatyzmu polskiego. Ale także i szlachecki konserwatyzm XVIII w. był święcie przekonany, że Polska może istnieć tylko, jako republika szlachecka, że wszelkie zmiany wewnętrzno - ustrojowe godzą w byt Polski, jako takiej. Był przekonany... i doprowadził kraj do katastrofy.

*

Autor interesującego artykułu we „Froncie Robotniczym" (nr. 33 z dn. 27.VI. b. r. „Ani pacierz, ani piorun") podnosi, że jako idea, mająca zjednoczyć naród, idea obrony, ustępuje co do dynamizmu idei faszyzmu niemieckiego, rzucającego hasło przewodzenia przez naród niemiecki innym narodom. „Oczywiście" — pisze on — „pojęcie obrony kraju jest bez porównania moralniejsze... Jeśli jednak hasła obrony kraju pragnie się użyć jako idei, jednoczącej naród w organizacji politycznej, to stwierdzić wypadnie, że porównanie takiej idei, jej prężności i siły przyciągającej... wypadnie na korzyść haseł rzuconych przez Niemcy... W pojęciu obrony mieści się przecież z konieczności coś mniejszego, mniej dramatycznego, kiedy wzywa się człowieka do... ratowania tego, co jest dziś, nie tego co możnaby zdobyć jutro... Uczciwa wola zachowania tego, co zdobyto, to bardzo wiele, ale o wiele za mało dla politycznej organizacji mas".

W naszem rozumieniu hasło obrony jest wieloznaczne. Może być bardzo łatwo zrozumiane, jako hasło biernej — choćby nawet czujnej — postawy.

Takie hasło najbardziej dogadzałoby naszej psychice narodowej. „Defensywizm" jest ulubionem jej stanowiskiem. Rozumieją to znakomicie zachowawcze czynniki, które zawsze po mistrzowsku żeglują hasłami „obronnemi"; każą narodowi „bronić się" przed żydami, to znów przed bolszewizmem etc. i w ten sposób obracają go w kółko w takt melodji chochoła.

Nie chcemy w ten sposób rozumieć hasła rzuconego przez Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Hasła żołnierskiego...

Chcemy natomiast dać wyraz przekonaniu, że ta nad wyraz moralna idea skupienia sił narodowych dokoła ich najwyższego dobra i dla wspólnej jego obrony może mieć walor tylko jako idea dynamiczna, idea organizująca wyobraźnię mas ludowych, budząca i mnożąca ich energję.

A jeśli tak — to musimy jeszcze raz stwierdzić, że przygotowanie kraju do obrony wymaga w pierwszym rzędzie szybkiego wydobycia się z warunków, w których znajdują się dziś szerokie masy ludowe, z warunków społeczno - gospodarczych, które dzisiaj przesądzają słabość Polski — mimo jak najsilniejszego rządu i jak najlepszego wojska — i z góry stwarzają dla Polski niepomyślne szanse na wypadek narzuconego jej konfliktu z jednym z wielkich sąsiadów, organizujących energję swych mas ludowych dla zapanowania nad światem i narzucenia mu swej woli.

Przezwyciężenie tej słabości, tkwiącej w złej strukturze społeczno-gospodarczej, w nieusuniętych dotąd reliktach ustroju Polski szlacheckiej i w wadliwych warunkach rozwoju Polski w XIX w., które uczyniły z niej kolonję obcego kapitalizmu, przezwyciężenie jej przez śmiałą politykę reform wewnętrznych i zupełne odejście od złego społeczno-politycznego ustroju, który w naszych warunkach może tylko doprowadzić do nowej katastrofy — tylko tak możemy rozumieć linję polityczną, po której zmierzać ma kraj do realizacji swej pełnej obronności.

Linja ta prowadzi poprzez masy ludowe, poprzez ich czynną, a nie bierną postawę, poprzez zdobywanie nowych wartości, a nie uparte tkwienie przy tem, co jest dziś, poprzez dynamizm społeczny, a nie defensywizm i pasywizm. Idea obrony musi być ideą rewolucyjną, a nie reakcyjną.

Adres Redakcji i Administracji

Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 6.09.70

Andrzej Moykowski

Podstawowa zasada ruchu

Gdy Józef Piłsudski odrzucił myśl o objęciu formalnej dyktatury i wszedł po maju 1926 r. na drogę rządzenia krajem tylko mocą własnego autorytetu, stało się jasne dla każdego, że nie chce stwarzać żadnych więzi, mogących stanowić przeszkodę dla szerszej inicjatywy ideowo-społecznej oraz organizacyjnej, podejmowanej, oczywiście, w duchu Jego wskazań. Pokoleniu nowej Polski — pisał tygodnik „Przełom" w parę tygodni po przewrocie majowym — Polski jutra, stworzył warunki swobodnej, nieskrępowanej działalności, wierząc, iż zdoła ono zdobyć się na istotnie wielki, istotnie twórczy wysiłek. Przyszła dla tego pokolenia godzina egzaminu".

Myśl tę, myśl o konieczności zorganizowania społeczeństwa pod sztandarem dokonanego przez Marszałka przewrotu i o daniu temu przewrotowi programowej treści propagował „Przełom" uparcie od samego początku swego istnienia: „Nie chodzi o obalenie jednych ludzi — głosił organ „naprawiaczy" — aby na ich miejsce postawić innych. Chodzi o zmianę systemu"... Do współpracy nad wytworzeniem tego systemu chciał wówczas poruszyć szerokie masy społeczeństwa polskiego. „Krzewimy w społeczeństwie — pisali „naprawiacze" — najwyższą cześć dla jednostki, która wzięła rządy w swe spracowane dłonie, dla jej wysiłków. Ale krzewimy w niem równocześnie przekonanie, iż bez wysiłku narodu, bez jego czynnej, twórczej współpracy, największe zmagania jednostki mogą ulec załamaniu. Chcemy przytem, żeby społeczeństwo myślało, żeby w tej atmosferze, którą stwarzają rządy jednostki, w atmosferze wiecznego oczekiwania, iż ktoś przecież za wszystkich myśli i wszystkiego dokona, nie zamarła w niem świadomość twórczych wysiłków, które od czasu majowego przełomu przed niem stoją".

Wydawało się nam wówczas, że te domagania się o nadanie przełomowi programowej treści, o zmianę nie ludzi, lecz systemu, o zorganizowanie żywego, narodowego obozu piłsudczyków i wpojenie w masy społeczne przekonania, że z tym obozem muszą czynnie współpracować — były domaganiami natury palącej. Wydawało się nam również, że Marszałek, który przez tyle lat znojnego i wielkiego życia wskazywał nam podstawowe wytyczne działania, nie da nam teraz zgóry programu, pozostawiając wypracowanie jego — nam, których wychowywał, których przyuczał do pracy dla dobra narodu, do walki ustawicznej, do odważnego i śmiałego myślenia. Na zjeździe legionistów, pierwszym po przełomie, który odbywał się 8 sierpnia w Kielcach, odwadze myślenia poświęcił część swej mowy. „Chcę dotknąć — mówił — prawdy o odwadze myśli i odwadze metod pracy. Gdy staje się jakaś rzecz ważna, musi ona mieć myśl przeczącą temu, co jest. Dlatego jest ona nową. Gdy się myśli o innych prawdach — trzeba przyjść do przekonania, że dla nowej myśli trzeba mieć odwagę, trzeba przekroczyć przeciętną prawdę, wyznawaną przez ludzi"... „Chcę stwierdzić — mówił dalej — iż nasz przykład, odważnych myśli, dowodzi, iż często lepiej jest myśleć zawcześnie, niż gdakać i siedzieć w błocie".

W maju 1926 r. stała się w życiu narodu polskiego „rzecz ważna", wymagająca odważnego i śmiałego myślenia wszystkich, którzy znowu stanęli wiernie pod sztandarem Marszałka. Chodziło o to, aby przeskoczyć przeciętną prawdę", zdobyć nową, zrodzoną z krwi bratniej, przelanej na ulicach Warszawy i tą nową prawdą przepoić cały naród, rozpoczynający po maju 1926 r. nową epokę swych dziejów.

Cóż z tego wszystkiego zrobiono? „Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem". Była to koncepcja kompromisowa, koncepcja „bloku", a więc rodzaju luźnej „wspólnoty pracy" różnych grup i odłamów politycznych, gospodarczych, społecznych, nawet różnych narodowości, złączonych wspólnem przekonaniem (czasem, niestety, wyrachowaniem), że tylko pod sztandarami Marszałka można pracować dla dobra kraju. W takim zespole nie mogły się, oczywiście, zrodzić myśli odważne i śmiałe. To też ani „góra" „Bloku", lawirująca z konieczności wśród kompromisów ideowych i taktycznych, ani formalnie tylko związane z sobą „doły" blokowe nie stały się ośrodkami, promieniującemi siłą jakiejś nowej ideologji. Zawisły tedy odrazu na powierzchni życia polskiego, nie przenikając do jego wnętrza. Tam przenikał coraz głębiej Józef Piłsudski. Kontakt Jego z masą narodu stawał się coraz trwalszy. Kontakt bezpośredni, przedziwnie mocny, zespalający w jedno Wodza z Narodem i Naród z Wodzem. „Blok" do wnętrza narodu nigdy, na szczęście, nie dotarł. Powiadam „na szczęście", gdyż to, co jako „zgodny wyraz" myśli „Bloku" mogło być społeczeństwu podawane, byłoby kakofonją różnych tonów, która szerzyłaby tylko najpospolitszy zamęt w głowach. Nie stał się też „Blok" nigdy stronnictwem rządowem. Pozostał do końca luźną „wspólnotą pracy", w której każdy, kto się podpisywał na „ideologię Marszałka" i godził na pewne minimum posłuszeństwa wobec pułkownikowskiej „góry" mógł z łatwością znaleźć miejsce i przytułek.

Obok „Bloku", a nawet ściślej poza nim, rozwijało się szereg organizacji, jak Związek Legjonistów, Związek Strzelecki, Związki Obrońców Ojczyzny, Polski Związek Zachodni, Liga Morska i Kolonjalna, organizacje rolnicze, wychowawcze i oświatowe, Związek Związków Zawodowych i t. p. — słowem szereg organizacji o charakterze społecznym, ideowo związanych z duchem działalności Marszałka. Prace tych organizacji, podejmowane przeważnie bez żadnego koordynującego jej systemu, często może nawet kłócące się z sobą, często nieoczekiwane, miały jednak wielkie znaczenie. Z jednej strony symbolizowały w społeczeństwie aktywność ideową tak zw. obozu, z drugiej, pozostawione właściwie samym sobie, mogły być ośrodkami, w których koncentrowała się swobodniejsza, żywsza, bardziej twórcza, nieskażona kompromisami „góry" — myśl szarej masy piłsudczyków. W tych organizacjach tolerowanych, ba nawet łaskawie popieranych, lecz, na szczęście, nie kierowanych przez „górę", mogły się dzięki temu przechować przykazania Marszałka o prawdach nowych, które trzeba zdobywać oraz o odwadze czynu i myśli.

A szara masa społeczeństwa? Przestała się zastanawiać nad zagadnieniami życia państwowego. Zobojętniała. Jedni wierzyli, że wszystko, co się dzieje, dzieje się dobrze, gdyż pochodzi z woli Marszałka. Był to przejaw zobojętnienia — najszczęśliwszy. Inni zobojętnieli z oportunizmu lub ze strachu, inni wreszcie dlatego, że jeszcze nie nauczyli się myśleć kategorjami państwowemi. Tych ostatnich było w Polsce najwięcej. Zajęły się niemi osłabione po maju grupy opozycyjne.

Wobec nich „góra" tak zw. obozu, przeciwna programowej organizacji społeczeństwa, popełniła grzech podwójny: nietylko, iż nie pozyskała ich dla siebie, lecz nie dokonała w stosunku do tej kategorji obywateli wielkiego, koniecznego wysiłku wychowawczo - państwowego, który winien był podstawową troską i zadaniem piłsudczyków.

Trzy zabory dały nam element obywateli bardzo różnorodny.

Myśląc o tej różnorodności niesposób jest pominąć nawet inteligencji. I ona była do siebie niepodobna. Co najważniejsza nie znała się. Ożywiona jednak tym samym duchem służenia swemu narodowi i państwu, choć wychowana w odmiennych warunkach, zespoliła się, oczywiście, stosunkowo najszybciej. Proces wzajemnej i nadspodziewanie szybkiej infiltracji sił inteligenckich z różnych zaborów doprowadził do tego, że różnice zaborców zacierały się z każdym rokiem i że dziś możemy powiedzieć, iż typ przeciętnego inteligenta polskiego, niezależnie od tego z jakiej dzielnicy pochodzi, jest już naogół jednolity. To samo choć w mniejszym stopniu da się powiedzieć o polskiej ludności robotniczej. Zamieszkująca miasta, zachowująca kontakt z inteligencją polską, bardziej uświadomiona narodowo i społecznie, biorąca żywy udział w akcji niepodległościowej, stanowiła od zarania naszej odrodzonej państwowości element podatny na wpływy jednoczące, ogólnopaństwowe, przeciwstawiając się np. w dzielnicach zachodnich najdzielniej intrygom partyjno - separatystycznym.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z procentowo dominującą w kraju masą włościańską. Tu, jeśli chodzi o poziom uświadomienia narodowego trzeba może na pierwszym planie postawić z zaboru pruskiego — dzielnicę poznańską. Włościanin polski z poznańskiego był niewątpliwie, jeżeli chodzi o przeciętną w stosunku do innych dzielnic, najbardziej uświadomionym. Obok niego można było

postawić włościan tylko z niektórych części zaboru rosyjskiego i Małopolski.

Przeciętna uświadomienia narodowego włościan Kongresówki do Wojny Światowej przedstawiała się chyba najgorzej. Deprawacyjna polityka rosyjska po 1862 r., spory z wielką własnością o serwituty i inne, w których ziemiaństwo polskie zdradzało, niestety, często brak poczucia obywatelskiego, analfabetyzm mas chłopskich — wszystko to sprawiało, że wciąganie mas chłopskich z Królestwa do pracy narodowej nie zawsze było rzeczą łatwą. Indyferentyzm mas chłopskich w Kongresówce na sprawy narodowe był jeszcze w 1914 r. bardzo duży. Wierny swemu językowi i wierze katolickiej, „polskiej wierze", z wyjątkiem uświadomionych okolic, chłop z Królestwa, był przeciętnie nieczuły na hasła narodowe. Inaczej sprawa ta występowała w b. zaborze austrajckim. Lecz i tu działała deprawacyjna polityka władz zaborczych i egoizm naszego ziemiaństwa, zwłaszcza w Małopolsce wschodniej.

Praca nad unarodowieniem włościaństwa podejmowana w trzech zaborach bądź przez stronnictwa narodowo-katolickie, bądź też lewicowe, nie była jeszcze w stanie przepoić całej wielomiljonowej polskiej masy włościańskiej oddaniem dla spraw ogólnonarodowych, czy ogólnopaństwowych. Nawet życie parlamentarne w b. Galicji, wcześniejsze, niż w innych dzielnicach, dopuszczenie polskiego włościaństwa do udziału w sprawach publicznych, nie zdołało do gruntu wykorzenić w przeciętnym chłopie polskim w b. Galicji pewnego indyferentyzmu na sprawy ogólnonarodowe. A równocześnie i w kołach chłopskich dawał się dostrzegać sui generis austrjacki patrjotyzm państwowy, m. in. jako odpowiednik takiego samego patrjotyzmu „warstw wyższych", szczególnie skłonnych do bluszczowego owijania się wokół tronu „starego i ukochanego monarchy" — Franciszka Józefa.

Okres niespełna 8 lat, dzielący chwilę naszego odrodzenia państwowego od momentu przełomu majowego 1926 r. był zbyt krótki, żeby ta cała, wielomiljonowa masa mogła się uobywatelnić i podnieść do tego poziomu, na którym znajdowały się nasze warstwy zdawna narodowo uświadomione. W tych niespełna 8 latach młode, walczące z trudnościami wewnętrznemi i zewnętrznemi Państwo Polskie, nieskonsolidowane wewnętrznie i rozdzierane walkami partyjnemi, nie było w stanie zatrzeć śladów, które w chłopie polskim pozostawiła niewola społeczna dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, a potem — niewola polityczna całego narodu.

W pierwszych latach istnienia naszej odrodzonej państwowości czynnikiem najbardziej narodowo-wychowawczym stała się wojna, którą zmuszeni byliśmy prowadzić na różnych frontach. Do udziału w niej powołane zostały nasze masy ludowe. Przeżyły one tragiczne chwile naszych zmagań, lecz i okresy bohaterskich zwycięstw. Zwycięskie oparcie się nawałom wroga, czyhającego ze wszystkich stron, utrwalić musiało w nich poczucie tego, że jedynym, pełnoprawnym gospodarzem ziemi polskiej jest Polak i że wszyscy ci, którzy na tej ziemi dotąd gospodarzyli, gospodarzyli tylko siłą przemocy. Po okresie wojen, po 1920 r., służba w wojsku stała się jedną z najlepszych szkół uobywatelnienia naszych mas włościańskich.

Lecz obok młodych pokoleń włościańskich, które chrzest uświadomienia narodowego przeszły w ogniu walki o swe państwo, a potem służąc w szeregach armji narodowej, żyło jeszcze stare pokolenie, którego nie porwały pamiętne lata 1918 — 1920 r., żyjące wspomnieniami dawnych, a więc z reguły niemal „lepszych" czasów. Może niezawsze można było zmienić psychikę tych mas indyferentnych, lecz wpływ ich można było zneutralizować, wciągając ogół chłopski w orbitę ustawicznej, żywej pracy całego, narodowego obozu piłsudczyków.

Lecz, aby można było tego dokonać, trzeba było tym masom chłopskim w państwie polskiem coś dać. Trzeba było uprzytomnić sobie tragiczną wymowę cyfr, głoszących, że zgórą 1 miljon włościan posiada 2 hektary ziemi i mniej, a drugi miljon ma jej „więcej", t. j. 2 — 5 ha! Trzeba było przystąpić do realnego, śmiałego, a nie papierowego wykonywania reformy rolnej, która, gdyby była realizowana planowo w ciągu minionych kilkunastu lat, przysporzyłaby nam tak potrzebną dla naszego zdrowia gospodarczego armję konsumentów oraz — co najważniejsze — kilka miljonów obywateli zadowolonych i zrośniętych z państwem. Zamiast tego flirtowano zapamiętale z konserwą, a wielu dawniejszych rewolucjonistów i socjalistów z wyraźnym pośpiechem zaczęło się upodabniać do kół arystokratycznego ziemiaństwa.

Nie postarano się więc o to, aby zespolić pod sztandarem ideologji Marszałka masy chłopskie, nie postarano się o to, aby je uobywatelnić, wychować. Lekceważono sobie te same zadania wobec mas robotniczych. Nie zdobyto również całej inteligencji pracującej, gdyż nie dano jej tego, o co pytała — programu. Nie dano tego programu młodzieży. Nie dano jej choćby jednego, lecz porządnie przemyślanego komentarza do ideologji Marszałka zawartej w pismach, rozkazach i jego życiu. Wszystko to bowiem wymagało „przekroczenia przeciętnej prawdy" — odwagi, myśli i pracy. „Odwaga myśli i odwaga metod pracy" — zasady, któremi kierował się zawsze Marszałek Piłsudski, które wcielał w życie, które znamionowały cały ruch niepodległościowy w latach przedwojennych, poszły w zapomnienie. Wolano „gdakać i siedzieć w błocie", chowając się za skrzydła Orła, udając orłów. Okazało się, że nie wszyscy wychowankowie, o których mniemał Wielki Marszałek, że umieją odważnie myśleć i szukać nowych, szerokich metod pracy, są do tego zdolni.

W chwili, gdy po roku od śmierci Marszałka budzi się wśród piłsudczyków znowu z żywiołową siłą ruch, zmierzający do zorganizowania społeczeństwa, warto było przypomnieć sobie prawdy Marszałka, które w kilka miesięcy po przełomie majowym przypomniał na zjeździe legjonistów w Kielcach. Jeżeli ruch ten ma przynieść tym razem wielkie plony, musi oprzeć się na tych prawdach, musi z nich uczynić podstawową zasadę.

W przeciwnym razie wszystko skończy się na „gdakaniu" i utopieniu w błocie wahań wielkiej Marszałkowskiej spuścizny.

Po „występkach" senackich

(K. K.) Ostatni (w chwili, gdy to piszemy) w y s t ę p p. sen. Heiman-Jareckiego w senacie polskim (słowo to nabiera specjalnej treści) należy bez żadnych ogródek nazwać poprostu — w y s t ę p k i e m. Występkiem przeciwko dobrym obyczajom oraz interesom gospodarczym i politycznym Państwa, w którego granicach wydawca „Polityki Gospodarczej" działa, zarabia i... agituje.

Porachunki osobiste p. senatora z nieodpowiadającym mu rządem Rzeczypospolitej, a zwłaszcza z tego rządu wicepremjerem, miałyby wszelkie cechy prywaty staro-szlacheckiej (skąd ten atawizm, skąd?...), gdyby nie miejsce ich i forma. W myśl doktryny liberalizmu państwo jest stróżem nocnym, a stróżowi — wiadomo — można urągać, ile wlezie (dopóki miotłą nie zdzieli), można mu nie dać „dychy" za otwarcie bramy, albo zapłacić fałszywą (zdewaluowaną) monetą. Ponieważ jednak doktryna ta w Polsce od lat już nie obowiązuje, więc anachronizm p. senatora służy za parawan do walki politycznej, walki, w której p. senator ma tę nad przeciwnikiem przewagę, że przeciwnik godzi w jednostkę, gdy p. senator — w zbiorowość, zespół, Państwo, a zatem skutki są grubo niewspółmierne.

Za parawanem p. senatora ukrywa się nietylko on sam, znajdziemy tam i „bawełnianą rację stanu" i teoretyków dewaluacji i wpływy zewnętrzno-polityczne, zaniepokojone pogłoskami, których — jak się teraz okazało — p. senator jest energicznym propagatorem i komentatorem. Ciekawe jest jednak, że najwięcej powodów do krytyki (żeby to krytyki!...) gospodarczych posunięć Rządu ma grupka, która ideowo związana jest ze szkołą krakowską, patrzącą na polską rzeczywistość oczami obywateli Marsa, materjalnie zaś — z utrzymywanym i podtrzymywanym przez Państwo (owego „stróża nocnego") przemysłem włókienniczym łódzkim. A przemysł ten, dziwna rzecz, od kilkunastu lat stale pasożytuje na dobrej woli Państwa. W okresie dewaluacji markowej odbudował się i rozbudował za pieniądze P. K. K. P. (rozumiemy teraz tęsknotę „Polityki Gospodarczej" za następną dewaluacją), potem sarkał, że mu rynków rosyjskich nie otwierają, do eksportu się nie kwapił (skoro Rosji zabrakło), a eksportował dopiero pod naciskiem Rządu i przy pomocy wydatnych ulg, przywilejów i subwencyj państwowych, zwanych niekiedy zwrotem ceł, podatków i t. p., a w ogólności dumpingiem, opierał się wprowadzeniu w życie preferencyj dla surowców krajowych, stale groził bezrobociem (bo podatki, bo brak bawełny, bo to i owo) etc. A jak wysoko stawia sobie ten przemysł, czy też występująca jako „pars pro toto" grupka „Polityki Gospodarczej", interes własnego podwórka, świadczy wspomniane przemówienie p. sen. Heiman-Jareckiego, dla którego zaspokojenie zapotrzebowania Łodzi na bawełnę gra większą rolę, niż dobro bilansu handlowego i płatniczego trochę większej zbiorowości, jaką jest Rzeczpospolita Polska.

W cieniu sztandaru Rzeczypospolitej mogą furgotać małe chorągiewki o takim czy innym kolorze. Ale jest rzeczą — powiedzmy — śmieszną, kiedy taka mała bawełniana szmatka pcha się na maszt, przeznaczony dla biało-czerwonej chorągwi. Przybieranie na trybunie senackiej pozy reprezentanta gospodarstwa narodowego koliduje również z faktem, że przemysł łódzki jest tylko drobną i to bynajmniej nie wzorową częścią tegoż gospodarstwa, przeciwnie — częścią, która Państwu i społeczeństwu przysparza (narówni ze skartelizowanym węglem) nieproporcjonalnie dużo zmartwień.

Edward Arnekker

Chałupnictwo w programie gospodarczym Polski

Program gospodarczy Polski, któremu obecnie poświęca się nieco więcej uwagi aniżeli do niedawna to miało miejsce, musi określić pewne tereny działania dla każdego rodzaju wytwórczości — a w szczególności — wytwórczości wielkiej przemysłowej i wytwórczości drobnej — rzemieślniczej i chałupniczej. Jak dotąd bardzo wyraźnie wszelkie hasła uprzemysłowienia obejmowały przedewszystkiem przemysł fabryczny większy, natomiast małemu wytwórstwu nie zakreślono żadnych granic, odnosząc się doń raczej niechętnie. Tym, którzy myślą kategorjami wyłącznie wytwórczości gospodarczej, istnienie tego rodzaju wytwórstwa wcale nie jest na rękę i woleliby oni, aby istnieć przestało. — Łudzili się niektórzy, że w walce z wielką wytwórczością zginie ono szybko — fakty jednak wskazują, że śmierć ta jakoś nie nadchodzi i że może przez wiele dziesiątków lat nie nadejdzie. W tym stanie rzeczy zwrócono baczniejszą uwagę na ten rodzaj wytwórczości, tem więcej, że w miarę rosnącego bezrobocia, coraz większa liczba sił ludzkich zaczęła się zwracać w tę właśnie stronę, czerpiąc środki utrzymania z drobnej raczej, aniżeli z wielkiej wytwórczości. Mamy więc obecnie z takim stanem do czynienia, że w znacznie większym stopniu niż kilkanaście lat temu czerpie się środki utrzymania z drobnej wytwórczości aniżeli z wielkiej — pomimo tego, że udział tej wytwórczości wobec procesów racjonalizacyjnych i reorganizacyjnych w wytwórczości wielkiej prawdopodobnie zwiększył się, a w każdym razie nie zmalał. W tych warunkach możemy powiedzieć, że problem wytwórczości stał się w znacznie większym stopniu problemem wybitnie społecznym, aniżeli to miało miejsce dawniej, tem więcej, że drobna wytwórczość stała się głównym ze środków łagodzenia bezrobocia, w niej bowiem sporo bezrobotnych znajduje nędzne warunki bytu.

Z powyższego nie wynika wcale, że owa drobna wytwórczość jest czemś bardzo zwartem i jednolitem: odwrotnie, stanowi ona kilka odłamów — wśród których wyraźnie wyodrębnić należy rzemieślników i chałupników. Pierwsi stanowią, teoretycznie przynajmniej, kadry samodzielnych wytwórców—faktycznie w swej większości są nie samodzielni i wykonują „zamówienie" albo „pracują na zamówienie" kupca czy finansującego daną wytwórczość: w praktyce są oni aż nazbyt często siłami wykonawczemi, stojącemi na poziomie i w sytuacji zwykłych najemników. Chałupnictwo, czyli drugi odłam drobnej wytwórczości, stanowi już wyłącznie element zależny, często mniej kwalifikowany (ale nie zawsze!), bardziej wyzyskiwany przez najgorszą sferę nakładców - wyzyskiwaczy, których rola społeczna i szkodliwość została chyba w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat dostatecznie osądzona i to nietylko w Polsce, ale i we wszystkich krajach gdzie to zjawisko występuje.

Obecne dążenia w dziedzinie uregulowania chałupnictwa muszą mieć na celu podciągnięcie tych szerokich sfer pracowników pseudo-samodzielnych do poziomu życia robotnika fabrycznego, ponieważ kryzys wyżłobił przepaść między poziomem życia tych dwóch grup pracowniczych. Jeżeli bowiem robotnik mało kwalifikowany w przeliczeniu na godzinę pracy wszędzie zarobi 20 — 30 groszy, a chałupnik nie może zarobić nawet 10 groszy, to w tych warunkach stwarza się w szerokich masach przekonanie krzywdy i niesprawiedliwości społecznej, której trzeba koniecznie zapobiec. W dodatku do tych trudności dochodzi jeszcze jedna: zdeklasowany rzemieślnik jest gotów upatrywać w chałupniku swego głównego wroga i nabywa on przekonania, że ten jest powodem jego zdeklasowania, ponieważ zabiera mu resztki pracy, które jeszcze pozostały. Naturalnie taki pogląd jest bardzo wulgarnem ujęciem znacznie bardziej skomplikowanego procesu społeczno-gospodarczego, który w obecnej chwili zachodzi, a który polega na zasadniczych przesunięciach w dziedzinie wytwórczości, podziału pracy i t. p.

Zachodzi obecnie pytanie: czy owe szerokie rzesze chałupników, rekrutujących się przeważnie z pośród zdeklasowanych samodzielnych wytwórców-rzemieślników oraz bezrobotnych robotników wielkiego przemysłu, a także wstępujących do życia zawodowego młodych sił, które dotąd innego zatrudnienia nie znalazły — należy skierować z powrotem na drogę samodzielnego wytwórstwa i uczynić z nich rzemieślników, czy też raczej należy pogodzić się z tem, że utracili oni swą samodzielność do której już nie wrócą i wobec tego, traktując ich na równi ze zwykłymi najemnikami, choć bardziej narażonymi na wyzysk aniżeli robotnicy fabryczni, wziąć ich pod opiekę, mającą na celu podciągnięcie ich do poziomu robotnika fabrycznego, którego życie jest dla tych sfer nieosiągalnym ideałem. Sfery rzemieślnicze zasadniczo bronią pierwszego stanowiska, uważają przeto, że jest możliwe owe masy chałupnicze podciągnąć pod przepisy regulujące życie rzemiosła. Ci, którzy bliżej stykają się z warunkami bytu chałupnictwa stoją na przeciwnem stanowisku, uważają bowiem, że zrealizowanie postulatów rzemiosła w stosunku do warsztatów chałupniczych jest w praktyce niewykonalne, dążą przeto do stworzenia takich warunków, któreby tych parjasów pracy podniosły do poziomu robotnika fabrycznego, natomiast nie stwarzały fikcji, iż stali się oni samodzielnymi wytwórcami - przedsiębiorcami, ponieważ fikcja taka w dotychczasowym stanie rzeczy nic zmienić nie zdoła.

Nie należy przypuszczać, aby dotychczasowy stan rzeczy mógł być zachowany bez zmiany: państwo nie może w dzisiejszych czasach patrzeć na to, jak masy ludności są bezkarnie eksploatowane i wyzyskiwane w sposób sprzeczny z naturalnem poczuciem słuszności i z przyjętym dziś ogólnie obyczajem. Dziś rola przedsiębiorcy pracującego dla własnego zysku jest wszędzie ograniczana przez prawo i sprowadzana do roli sługi społecznego. Nie może przeto u nas pozostać on bez zmian samowładnym dyktatorem gospodarczym, którego nastawienie na zysk osobisty przynosi szkodę społeczeństwu. Przedsiębiorcy żyjący z wyzysku pracy chałupniczej — to wśród ogółu przedsiębiorców specjalna kategorja ludzi, którymi wartoby się obecnie zająć. Wielu jest wśród nich takich, którzy... nie odznaczają się umiejętnością czytania. O jakiejś rachunkowości, o płaceniu podatków, o ubezpieczeniu zatrudnionych przez siebie pracowników niema nawet mowy. W żadnej okoliczności życia, ani w obliczu najbardziej rygorystycznych przepisów nie można na nich liczyć: wyspecjalizowali się bowiem tak w obchodzeniu przepisów prawa, że nie znajdziemy takiego, któryby potrafił ująć ich działalność w jakieś odpowiednie ramki. W dzisiejszych warunkach bytu, ci najmniej uświadomieni wśród przedsiębiorców odgrywają mimo swej szkodliwości nader poważną rolę i to rolę, której granice raczej się rozszerzają. Oddajemy w zupełności w niepoczytalne ręce część naszej wytwórczości narodowej, nie bierzemy zaś zupełnie w karby najbardziej giętkich charakterów, pozbawionych szkolenia i ducha pracy społecznej, zupełnie nieposiadających świadomości państwowej. Ten typ przedsiębiorcy powinien już dawno w dzisiejszych nowoczesnych warunkach bytowania zaginąć. Należy rozpocząć z nim walkę, należy wyrwać setki tysięcy pracowników i miljony złotych naszej wytwórczości z pod dyspozycji przedsiębiorstw, których właściwem mianem byłaby nazwa przedsiębiorstw „z pod ciemnej gwiazdy".

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. p. Kornel Chwalibóg

Dnia 28 czerwca r. b. zginął w wypadku automobilowym na szosie pod Katowicami jeden z wybitniejszych przedstawicieli młodego pokolenia pracowników społecznych na terenie woj. Śląskiego, wychowaniec Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, ś. p. Kornel Chwalibóg.

Mimo młodego wieku, bo w chwili śmierci liczył zaledwie 27 lat życia, tragicznie Zmarły miał już za sobą długie lata intensywnego udziału na różnych polach pracy społecznej.

Pracę tą rozpoczął na terenie gimnazjalnym w organizacjach harcerskich. Kontynuował ją na Uniwersytecie, jako wybitny i czynny uczestnik prac Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, jako działacz w organizacjach samopomocowych oraz w stowarzyszeniach kół prowincjonalnych.

Na Śląsku, gdzie zamieszkał od lat trzech, dał się poznać przedewszystkiem w pracach dawniejszego Związku Obrony Kresów Zachodnich oraz Polskiego Związku Zachodniego. Był jednym z kierowników prac Organizacji Młodzieży Powstańczej.

Tak w życiu prywatnem, jak i zawodowem, jak wreszcie na terenach swej pracy społecznej, Zmarły odznaczał się dużą pracowitością, energją, umiejętnością kierownictwa i inicjatywy.

Cześć Jego pamięci!

Józef Pabis

Nowy ustrój pracy w Niemczech

Hitler po dojściu do władzy wypowiedział walkę starym formom organizowania życia społecznego. Ujmując w jednolite kierownictwo cały nurt życia politycznego, gospodarczego, podporządkował monopartji narodowo-socjalistycznej — również sprawy socjalne, a wraz z niemi świat pracy, skupiony w dawnych związkach zawodowych, nastawionych w swej pracy politycznie.

Trzy główne centrale niemieckiego ruchu zawodowego: Związki Wolne, Chrześcijańskie i Hirsz-Dunkierowskie, straciły monopol wyłącznego reprezentowania interesów robotniczych, gdy w dniu 4.VI. 1933 r. ustawa Ministerstwa Pracy powiększyła w Rzeszy Niemieckiej liczbę związków robotniczych i gospodarczych przez nadanie tych praw Narodowo-Socjalistycznej Organizacji Komórek Zakładowych (National Socialistische Betriebszellen Organisation) i robotniczej organizacji Stahlhelmu pod nazwą Samopomoc (Selbsthilfe). W ten sposób zrobiono początek. Na dalsze kroki nie trzeba było długo czekać.

Dnia 5.IV. 1933 roku ogłoszona została ustawa o Tymczasowej Radzie Rzeszy, eliminująca organy związków zawodowych z samorządu gospodarczego. Niespodziewane ogłoszenie pierwszego maja w Rzeszy, jako dnia Święta Narodowego i dnia zjednoczenia całego społeczeństwa niemieckiego, stworzyło wygodną sposobność dla likwidacji związków zawodowych. W dniu 2-go maja 1933 r. Komitet Ochrony Pracy Niemieckiej z doktorem L e y e m na czele opanował przemocą przy pomocy szturmówek S. A. i S. S. i cichem poparciu policji — wszystkie domy, biura i instytucje Wolnych Związków zawodowych. Był to koniec dawnego ustroju pracy w Niemczech, opartego na związkach zawodowych, walce klas i antagonizmie właścicieli warsztatów pracy i robotników.

Narodowy socjalizm szybko przystąpił do organizacji rozbitego ruchu robotniczego. Skupił robotników w jednolitej organizacji pod nazwą Deutsche Arbeits Front; grabież majątków dawnych związków zawodowych uprawomocnił Generalny Prokurator przy pierwszym Sądzie Krajowym w Berlinie w dniu 12.VI. 33 r. na zasadzie rozporządzenia Prezydenta Rzeszy z dnia 28.II. 33 r. o ochronie narodu i państwa, zaś przywódcę Niemieckiego Frontu Pracy mianował kuratorem zajętego majątku, wyposażając go w szerokie pełnomocnictwa.

Tak zamknięto historję ruchu zawodowego w Niemczech i dawnego ustroju pracy. Dokonano tego przemocą, gdyż w danym wypadku chodziło tylko o zmianę kierownictwa i celów ruchu zawodowego. Zlużowano wodzów dawnych i całą obsadę przywódców zastąpiono przez nowych, a w miejsce walki klas wprowadzono ideał wspólnoty narodowej. Ustanowiony przez Hitlera kierownik („Führer") D. A. F., doktór Ley, wyjaśniając przyczyny przejęcia przez partję narodowo-socjalistyczną kierownictwa organizacjami robotniczemi, wyjaśnił, że jest to droga do zbudowania na gruzach dawnych związków nowej olbrzymiej organizacji, któraby swoim zasięgiem objęła wszystkich ludzi pracy, od robotników poprzez chłopów — do wolnych zawodów, jednocząc ich w pracy budowania nowego państwa, opartego o wolność i honor społeczny.

Niemiecki Front Pracy został uznany na kongresie 10-go maja 1933, jako organizacja, przy której pomocy ma się realizować ustrój narodowo-socjalistyczny w życiu gospodarczem i społecznem. Nad całością objął protektorat Hitler. Było to symbolem, że Deutsche Arbeits Front został uznany przez oficjalne czynniki za jedyną organizację świata pracy w Rzeszy. Zorganizowano członków tej organizacji w dwie zasadnicze grupy: Związek robotników („Gesantverbant der Deutschen Arbeiter") i Związek pracowników umysłowych („Gesantverbant der Deutsche Angestellen"). Robotników podzielono na czternaście grup przemysłowych; osobno wydzielono chałupników. Związek pracowników umysłowych podzielono na 9 grup zawodowych. Do tych dwu zasadniczych elementów składowych Niemieckiego Frontu Pracy dochodzi Związek pracodawców. Dopiero trzy te wielkie człony organizacyjne stanowią właściwy D. A. F., jako pełną organizację świata pracy.

Podstawą działania D. A. F. uczyniono zakład pracy z kierownikiem na czele. W obrębie zakładu pracuje drużyna, składająca się z robotników i pracowników umysłowych (załoga). Wszyscy zaś razem Führer, robotnicy i pracownicy umysłowi tworzą komórkę organizacji w nowym ustroju socjalistyczno-narodowym pod nazwą Wspólnoty Zakładowej (Betriebsgemeischaft). Ta sama gałąź gospodarcza tworzy w obrębie całej Rzeszy Wspólnotę Zakładową Rzeszy (Reichsbetriebgemeischaft). Na terenie całej Rzeszy istnieje 18 takich Wspólnot Zakładowych, które dzielą się administracyjnie na obwody (Gaue) i oddziały. Są to Wspólnoty Zakładowe: żywnościowa, włókiennicza, odzieżowa, budowlana, drzewna, metalowa, chemiczna, graficzna, papiernicza, komunikacji i robót publicznych, górnictwa, banków i ubezpieczeń, wolnych zawodów, rolnictwa, skórzana, robót ziemnych i kamieniarskich, handlu i rzemiosła.

Pomijając dokładniejszą organizację D. A. F., należy mieć jednak na uwadze jej cele i zadania. Hitler w rozporządzeniu o D. A. F. pisał, że „celem jej jest stworzenia rzeczywistej wspólnoty narodowej i wspólnoty wydajnej pracy. Ma ona starać się o to, aby każdemu poszczególnemu członkowi zapewnić w życiu gospodarczem narodu i w duchowym i fizycznym ustroju takie miejsce, które uczyni go zdolnym do najwyższej wydajności, a przez to zabezpieczy największy pożytek wspólnocie narodowej".

Ustawa zaś o ustroju pracy narodowej z dnia 20-go stycznia 1934 (Gesetz zur Ordnung der nationalen Arbeit) ustaliła definitywnie zasady i warunki organizacji pracy. Wynika z niej, że praca jest wykonywaniem obowiązku wobec narodu. Zarobek i zysk są drugorzędnemi elementami stosunku pracy robotnika do pracodawcy. Podział dochodu społecznego na dwie pozycje zysku i zarobku nie może istnieć i nie może być przedmiotem walk i sporów, jak w dawnych związkach klasowych, ponieważ jest naturalnym wpływem ze stosunku do pracy, którą wszyscy Niemcy muszą pojmować jako ścisłą współpracę, opartą na psychicznej ścisłej łączności wszystkich robotników i pracodawców, biorących w niej udział.

Rozwój zakładu fabrycznego leży w interesie całego narodu niemieckiego i jego gospodarki, a więc jest wspólnym interesem tak producenta, jak i właściciela warsztatu. Im lepszy rozwój warsztatu tem większy dochód społeczny.

Taka solidarystyczna idea, jako pojęcie wspólnoty narodowej, jedności wszystkich Niemców związanych rasą, krwią i przynależnością do ziemi, musiała niszczyć te wszystkie urządzenia dawnego ustroju pracy, które służyły walce klas o udział w dochodach społecznych. Stąd też odpadły automatycznie ustawy o radach zakładowych, o umowach zbiorowych, o rozjemstwie, wreszcie prawo koalicji robotników i t. p.

Nowy ustrój pracy został skonstruowany nie pod kątem sprawiedliwego rodziału dochodu społecznego, lecz jako forma gwarantująca najlepszy rozwój produkcji. Dlatego centralnym punktem obecnego ustroju pracy w Niemczech jest zakład pracy, w którym współdziałają elementy gospodarcze, uzależniające funkcjonalnie rozwój gospodarki narodowej. Zakład pracy pojmuje się jako zespół urządzeń rzeczowych, zmierzających do określonych celów gospodarczych. Wszyscy zatrudnieni w jednym zakładzie pracy mają służyć tym celom, które sobie zakład postawił, tworząc w obrębie tego zakładu wspólnotę pracy.

Zgodnie z teorjami narodowego socjalizmu pojmują Niemcy wspólnotę zakładową jako organizm w którem decydującą rolę odgrywają dwa czynniki: kierownik wspólnoty (Führer), reprezentujący w jednej osobie jego dążenia, wartości i potrzeby, oraz drużyna (Gefolgschaft) posłuszna i wierna przywódcy, zdążająca wspólnie do osiągnięcia wytkniętego celu. Przywódcą zakładu jest z zasady właściciel; drużynę stanowią wszyscy pracownicy umysłowi, robotnicy, chałupnicy i wszelka służba, znajdująca się w obrębie zakładu. Jedynie w razie pozbawienia właściciela przez instytucje sądów honorowych prawa kierowania zakładem ma on wyznaczyć innego przywódcę. Do obowiązków przywódcy należy prawo kierowania drużyną, prawo decydowania w stosunku do niej we wszystkich sprawach związanych z pracą, prawo wymagania bezwzględnego posłuszeństwa i wierności, oraz troska o dobro drużyny. Führer drużyny, zatrudniającej więcej niż 20 pracowników, ustala na piśmie warunki pracy i podaje je robotnikom w formie regulaminu (Betriebsordnung).

Na przeszkodzie do wyzysku siły robotniczej staje kierownikowi zakładu regulamin honoru społecznego, który nakazuje

nie wyzyskiwać robotników i szanować godność pracowników. Dalszym hamulcem samowładczej woli przywódcy drużyny są normy prawa pracy, których żaden regulamin nie może zniekształcić, wreszcie trzecim i najważniejszym czynnikiem, regulującym stosunek pracy ze względu na dobro publiczne, jest t. zw. **powiernik** pracy, mogący uchylać te regulaminy pracodawcy, które są sprzeczne z ogólnemi zarządzeniami partji, a ze swej strony regulujący, jako reprezentant państwowy, ogólne warunki pracy. W ten sposób pracodawca jest silnie ograniczony w dziedzinie regulowania stosunków pracy, tembardziej jeszcze, że jego obowiązkiem jest rozumna współpraca z **Radą zaufania**, będącą emanacją życzeń i postulatów drużyny robotniczej.

Drużyna, realizując zamierzone cele przez Führera, musi posłusznie i wiernie wykonać swoje obowiązki, wynikające ze wspólnoty celów danego zakładu. W takich warunkach odpadają w płaszczyźnie zakładów wszelkie walki i tarcia o kierownictwo w produkcji. Wszystkie pretensje robotnika załatwia wspólnota zakładowa przez powołany w tym celu organ, t. zw. Radę zaufania, której głównemi zadaniami jest pogłębianie wzajemnego zaufania wewnątrz wspólnoty, spełnianie funkcji doradczych przy Führerze zakładu, wreszcie odwoływanie się do powiernika pracy, jako przedstawiciela państwa, o ile stosunki pracy nie odpowiadają pojęciom o wspólnocie zakładowej. Mężowie zaufania w Radzie są przedstawicielstwem robotników, lecz nie z wyboru.

Powiernicy („Treuhänder der Arbeit") czuwają nad sprawnem i zgodnem funkcjonowaniem Wspólnoty Zakładu przez bezpośredni wgląd i powoływanie mężów zaufania, przez rozstrzyganie sporów pomiędzy przywódcą zakładów a zwolnionymi, wreszcie najważniejsze: przez wydawanie zarządzeń taryfowych, które obejmują ustalanie warunków płacy. W ten sposób państwo jest regulatorem podziału dochodu społecznego a powiernik, jako jego organ jest strażnikiem honoru społecznego i organem władzy administracyjnej a w pewnym sensie i ustawodawczej. Biorąc na siebie obowiązek wychowawczy, pobudza powiernik robotników do wytrwania na posterunku pracy, przyczyniając się w ten sposób do realizowania „uspołecznionej" produkcji dla narodowo - socjalistycznego państwa niemieckiego.

W ten sposób totalne państwo Trzeciej Rzeszy zstąpiło w sam środek dotychczasowego frontu walki, gdzie spotykali się w starciach o dochód społeczny kapitalista i robotnik.

Na drogach ideowego organizowania Narodu

Narada działaczy społecznych Stolicy

Z inicjatywy Centralnej Rady Działaczów Społecznych odbyła się w Warszawie w lokalu Resursy Obywatelskiej w dn. 26 ub. m. Narada Działaczów Społecznych Stolicy. W zebraniu wzięło udział blisko 200 osób, reprezentujących organizacje kulturalno-oświatowe, gospodarcze, zawodowe oraz ideowe. Obrady zagaiła senatorka Regina Fleszarowa, podkreślając konieczność wzmożenia zainteresowania mieszkańców Stolicy sprawami swego miasta. Przewodniczył zebraniu dyr. Kazimierz Kierzkowski. W prezydjum zasiedli nadto: sen. Fleszarowa, p. Anna Podgórska, prof. Bronisław Chróścicki, dr. Wiktor Supiński, inż. Jan Kazimierski i red. Irena Jabłowska. Zasadniczy referat polityczny wygłosił red. Bolesław Srocki, poczem koreferat o aktualnych zagadnieniach samorządowych miał dyr. Marceli Porowski. W ożywionej dyskusji m. in. zabierali głos: dyr. Henryk Pawłowski, red. Wacław Szurig, mec. Kazimierz Wójcicki, prof. Józef Sosnowski, prof. Bronisław Chróścicki, dyr. Mieczysław Wieczorkiewicz oraz p. Edward Hejkin, który powitał zebranych w imieniu Zw. Pol. Mł. Demokratycznej. W wyniku dyskusji obecni jednogłośnie stwierdzili całkowitą solidarność z uchwałami ogólnokrajowej Narady Działaczów Społecznych, odbytej w dn. 14 b. m. (patrz Nr. 20 „Narodu i Państwa") oraz powołali do życia Radę Działaczów Społecznych Stolicy, w składzie następującym: prof. Bronisław Chróścicki, sen. Regina Fleszarowa, red. Irena Jabłowska, radny miasta Zygmunt Kallenbach, dr. Stanisław Kapuściński, dyr. Kazimierz Kierzkowski, prof. Tomasz Piskorski, inż. Przemysław Szczekowski, dyr. Jerzy Szyszko-Bohusz, red. Wacław Szurig, dyr. Mieczysław Wieczorkiewicz oraz mec. Kazimierz Wójcicki. Zebranie zamknął imieniem Parlamentarnego Związku Grup Działaczów Społecznych poseł Czesław Dębicki, który w gorących słowach nawoływał do wytężonej pracy w kierunku realizowania uchwał, podjętych dla dobra Narodu i Państwa. Z okolicznościowych spraw poruszono również sprawę słynnego napadu w Myślenicach. W sprawie tej uchwalono następującą rezolucję:

Narada Działaczy Społecznych Stolicy piętnuje z najwyższem oburzeniem skandaliczny fakt niepoczytalnego napadu na starostwo i posterunek Pol. Państw. w Myślenicach, mającego na celu wniesienie w życie Polski anarchji, podważającej najbardziej podstawowe elementy siły i bytu Państwa.

Wszelkie tego rodzaju wystąpienia muszą być karane z całą surowością prawa, jako zbrodnie przeciwko Państwu i Narodowi Polskiemu. Kary te muszą dotykać nietylko mechanicznych wykonawców, ale i duchowych inspiratorów wystąpnych działań. Do walki z czynnikami anarchji muszą wystąpić również z całą ostrością zorganizowane siły społeczne, dające bezpośrednią i zdecydowaną odprawę wszelkim próbom warcholskiego podważania porządku prawnego w Państwie.

Zjazd działaczy społecznych woj. Lubelskiego

W poniedziałek, dnia 29 czerwca r. b., odbyła się w Lublinie Narada Działaczów Społecznych z obszaru województwa lubelskiego, przy udziale przeszło pięćdziesięciu osób, reprezentujących różne dziedziny zorganizowanego życia społecznego Lubelszczyzny. M. in. obecni byli poseł Hofman i poseł Szczypa. Na konferencję przybyli również z Warszawy przedstawiciele Centralnej Rady Działaczy Społecznych w osobach prezesa Rady, senatora Piotra Olewińskiego i sekretarza generalnego dyr. Czesława Zagórskiego.

Po zagajeniu obrad przez p. senatora Felicjana Lechnickiego, powołano Prezydjum Narady z p. sędzią Lelkiem-Sową jako przewodniczącym, poczem wygłoszone zostały 3 referaty. Pierwszy przemawiał p. senator Felicjan Lechnicki o aktualnej sytuacji politycznej i konieczności zgrupowania ludzi, biorących czynny i bezpośredni udział w pracy społecznej i zawodowej. Skolei zabrał głos p. Czesław Zagórski, który omówił sytuację gospodarczą Polski i nakreślił zarys programu prac w tej dziedzinie. Niezmiernie ważne i palące zagadnienie młodego pokolenia w Polsce zostało omówione w referacie p. Falandysza.

W dyskusji nad referatami zabierali głos pp. Zalewski, Szyszko, Pajdowski, Zieliński, Strawiński, Lelek-Sowa, Prokopiak i inni.

Po dyskusji uczestnicy narady przyjęli jednomyślnie szereg uchwał. Niektóre z nich przytaczamy poniżej:

Ze względu na ogólną sytuację Państwa, powołanie jednolitej organizacji obozu, w imię hasła obrony Polski zapowiedziane przez Naczelnego Wodza gen. Rydza-Smigłego, — stanowi bezwzględny nakaz dla pokolenia wyrosłego w epoce Józefa Piłsudskiego i odpowiedzialnego za realizację Jego testamentu.

Organizacja obozu musi mieć na celu obudzenie w społeczeństwie wiary w znaczenie zorganizowanej pracy dla przyszłości Polski, wyzwolenie żywych i twórczych sił Narodu zdolnych do podciągnięcia Polski wyżej i utrwalenia Jej dobrobytu historycznego i kulturalnego.

Entuzjazm Narodu i wiarę w celowość podejmowanych wysiłków, zbudzić mogą tylko hasła wielkie i jasny program, do realizacji którego należy przystąpić bez zwłoki.

Program gospodarczy i społeczny musi mieć w swoim założeniu powiązanie interesów Państwa i Narodu z interesami polskiego świata pracy, jako nieodzownego warunku do realizacji hasła Obrony Polski.

Szukając samodzielnych dróg rozwojowych polskiej rzeczywistości gospodarczo-społecznej, musi dążyć do planowej przebudowy ustroju liberalno-kapitalistycznego, na ustrój zorganizowanej gospodarki społecznej, w którym praca i wartość etyczna jednostki będą jedynym miernikiem jej praw w dochodzie społecznym i tytułem do uzyskiwania wartości gospodarczych, oraz udziału w życiu publicznem.

Jako ośrodek typowo rolniczy specjalnie podnieść musimy sprawę reformy rolnej i potrzeb wsi. Musi starczyć i starczy ziemi tyle, by pchnąć szerokie masy na drogę wiary, iż Polska jest sprawiedliwa i szczerze traktuje reformę rolną.

Do ideowej kadry obozu, winne być powołane wszystkie ośrodki polskiej niezależnej myśli ideowej, wypróbowane w walkach o niepodległość oraz twórcze elementy społeczne i demokratyczne skupiające się przy pracy o lepsze jutro Polski.

Jednocześnie kategorycznie stwierdzamy szkodliwość i bezskuteczność stosowania metod organizacyjnych i politycznych Bezpartyjnego Bloku i dotychczasowych partji politycznych.

Hasło walki o ideowy poziom polskiego życia publicznego musi być powiązane z zasadami surowej uczciwości osobistej, bezinteresowności i wierności głoszonym hasłom.

Wyrażając zdecydowaną wolę w realizacji powyższych haseł, zebrani stają do dyspozycji Naczelnego Wodza generała Rydza-Smigłego i solidaryzując się z uchwałami Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, Narady Działaczy Społecznych w Warszawie, Związku peowiaków w Lublinie, organizacji kobiecych, Związku Zarzewiaków oraz Związku Senjorów O. M. N. i Z. P. M. D. powołują Wojewódzką Radę Działaczy Społecznych z Wydziałem Wykonawczym na czele, dla utrzymania więzi organizacyjnej z Centralną Radą Działaczy Społecznych w Warszawie, oraz poszczególnymi działaczami społecznemi na terenach.

W wyniku konferencji powołano do życia Lubelską Radę Wojewódzką Działaczy Społecznych oraz Komitet Wykonawczy, w skład którego weszli: senator Felicjan Lechnicki — przewodniczący, sędzia Lelek-Sowa, adw. Józef Mazurkiewicz, Janina Komornicka, Józef Falandysz, poseł Kondysar, adw. Jan Strawiński oraz 2 przedstawiciel Zw. Legjonistów.

DROGI I BEZDROŻA

Nie mógł się doczekać

Ze wszystkich fragmentów ruchawki endeckiej, której tyle epizodów wypełniało w ostatnich czasach kronikł naszych gazet (tylko kronik, bo żaden z nich nie przejdzie do historji) myślenicki zamach p. Doboszyńskiego jest najciekawszy, daje najwięcej do myślenia. Bo że tutaj występował zaawansowany działacz Stronnictwa Narodowego, a nie jakiegoś tam nielegalnego O. N. R., że tutaj popisywał się przeprowadzeniem operetkowej rewolucji teoretyk reakcyjnego nacjonalizmu i to — broń Boże — nie jakiś rasista... gdzieżby tam, neotomista, rozwijający ustrój społeczno-gospodarczy według recepty św. Tomasza z Akwinu, są to oczywiście zjawiska uderzające.

W ciekawy, ale nie można powiedzieć, żeby nader inteligentny sposób, starają się też wyjaśnić psychologię Doboszyńskiego jego przyjaciele ideowi, dajmy na to z „Warszawskiego Dziennika Nar." i z „Gońca Warszawskiego". Unosząc się nad ideowością Doboszyńskiego, a zarazem starając się osłabić potworną absurdalność zamachu myślenickiego, usiłują wyjaśnić całą sprawę napięciem uczuć narodowych neotomisty z Myślenic. Doboszyński ich zdaniem tak mocno przeżył wizję przyszłej Polski, opartej na zasadach chrześcijańsko-narodowych, Polski, w której jedyną formułą organizacji społeczeństwa będzie reakcyjno-nacjonalistyczna odmiana faszyzmu, Polski, w której ani jeden stragan nie będzie się już znajdować w rękach żydowskich, że nie wytrzymał, — nie mógł się doczekać i postanowił na własną rękę walczyć o tę wymarzoną Polskę.

No, dobrze, ale czego właściwie „pan inżynier", czy „pan porucznik" (jak go tytułowano w czasie „akcji") nie mógł się doczekać, na co u licha miał czekać? Czy na proklamowanie rządów „frontu Morges"? Czy na „cud" z okazji najbliższej „pielgrzymki" Jasnogórskiej? Czy wreszcie na przyjście „zewnętrznego czynnika" dla zrobienia porządku w Polsce i poskromienia panoszącej mu się pod nosem rzekomej „masonerji" czy „komuny"?

Bardzo jesteśmy ciekawi na co właściwie miał czekać p. Doboszyński i prosimy o bliższe wyjaśnienia, o ile jego przyjaciele polityczni zechcą odsłonić rąbek tej tajemnicy?

Podłoże „zamachu" myślenickiego

Nie wyjaśniają także przyjaciele p. Doboszyńskiego organizacyjnej strony „rewolucyjki" myślenickiej.

No dobrze, filozof o gorącem sercu i gorącej głowie działał na własną rękę. Każdemu z nas może się przytrafić jakieś głupstwo, a osobliwie w czasie upałów. Ale awantura myślenicka nie jest wyskokiem jednostkowym; w Myślenicach działała organizacja.

Jaka to była organizacja? — Str. Nar., O. N. R., czy też jeszcze coś innego, o to nie będziemy się spierać. Niech tam sobie dochodzą tego władze śledcze. Z oświadczenia w tej sprawie szefa rządu w odpowiedzi na interpelację posła Hylt wynika wyraźnie, że o zamach myślenicki posądza on Stronnictwo Narodowe. Sądzimy, że gen. Sławoj-Składkowski będzie mógł bez trudu w odpowiednim momencie poprzeć ową tezę przekonywującym materjałem dowodowym.

Grunt, że była organizacja i to uzbrojona. Że p. Doboszyński mógł sobie dobrać 150 obałamuconych chłopców z ciemnego ludu — a w szczególności z ciemnej inteligencji („inteligencja" nie pochodzi od „intelligo", pochodzi tylko od słowa „inteligent"), to oczywiście nie jest uderzające. Ale skąd wziął broń dla tych ludzi? Jest tam dziedzicem pod Krakowem, ale brauningi nie wyrastają w ogródku. A musiał także swych ludzi instruować, bo operował materjałem ludzkim zgranym i przysposobionym nietylko do niszczenia sklepów, ale i do „partyzantki" beskidzkiej. Każdy, kto miał kiedykolwiek w życiu do czynienia z organizacjami bojowemi, przyzna, że tego tak łatwo nie można improwizować, — tutaj trzeba wyszkolić materjał ludzki. „Zamach" może stanowić indywidualny pomysł p. Doboszyńskiego. Broń i wyszkolenie, to już jest sprawa szerszej organizacji. Jakiej organizacji? I to nie jest tak bardzo zawiłe. Przecież w całym kraju przez szereg miesięcy zbroiły się i szkoliły anarcho-nacjonalistyczne organizacje różnego autoramentu.

I tutaj tkwi sedno sprawy. Nasza wykładnia zamachu myślenickiego różnić się musi od fałszywie-sentymentalistycznej wykładni endeckiej. „Niema dymu bez ognia". Dym, który pojawił się nad Myślenicami, zdradza ogień podkładany przez przelicznych Doboszyńskich w całym kraju.

Zamach myślenicki, to nietylko operetkowa rewolucyjka, ale to także symptom nieudałej prawdziwej „rewolucji". Zawsze kiedy coś miało być, a nie doszło do skutku, to zawiedzione nadzieje wylatują w powietrze takiemi odosobnionemi... eksplozjami.

Stan umysłów w masach radykalnie-endeckich był niedawno taki, że pp. Doboszyńscy mieli nadzieje, iż rychło już zagra im złoty róg. A tymczasem „nikt nie woła, nikt nie woła". P. Doboszyński łudził się jeszcze, że on wywoła to „coś", które nie nastąpiło. Zapewne mniemał nieborak, że kiedy zajmie Myślenice, to wywoła ogólny „ruch" narodowy w całym kraju, że ten malutki komyk porwie powszechną lawinę. Jakże gorzko się przeliczył!

Zamach myślenicki stanowi odosobniony i spudłowany wystrzał, jednakże wystrzał ten padł na szlakach odwrotu „narodowej rewolucji".

Jeszcze o kanikule

Co tu dużo gadać! Pracowaliśmy w atmosferze kanikuły i ostatni nasz felieton był pisany pod znakiem skrytej obawy, że zabraknie nam materjału. A tu tymczasem, zanim jeszcze czytelnicy otrzymali ostatni numer „Narodu i Państwa", posypały się aż za obfite sensacje.

Więc liczmy na palcach... pani Parylewiczowa, to raz. Doboszyński, to dwa. Tragikomiczny występ p. Heimana-Jareckiego w senacie, to trzy (niedobrze jest, jak „Lodzermensche" dobierają się do ministrów Sławoja). Dymisja wojewody stanisławowskiego, to cztery.

Ponieważ fala upałów jeszcze nie minęła i żyjemy pod znakiem pełnej kanikuły, przeto w skupieniu oczekujemy na dalsze sensacje.

Tymczasem jednak sprawa wytworzenia w społeczeństwie powszechnego prądu ideowego, wypływającego z założeń państwowych, ustalonych przez gen. Rydza-Śmigłego, nie posunęła się naprzód. Owszem, mamy do zanotowania ustosunkowanie się konserwatystów do inicjatywy Wodza. Nie odrazu się zdecydowali, ale ostatecznie lepiej późno niż nigdy.

Ks. Janusz Radziwiłł oświadczył więc, że nie można należycie przygotować obrony państwa bez rentownego rolnictwa i przemysłu. Acha, toby znaczyło, że do bronienia państwa potrzebny jest nasycony obszarnik i zadowolony fabrykant. Tylko broń Boże, nie państwowy przemysł. Bo przemysł musi być w rękach prywatnych, albo np. w rękach obcego rządu (p. Flick był tylko strohmannem rządu niemieckiego we „Wspólnocie Interesów"). Jeśli fabryki i kopalnie są w rękach obcego państwa, to wtedy mamy liberalizm i jest stan ogromnie sprzyjający obronie Państwa. Byle tylko te fabryki i kopalnie nie przeszły w ręce własnego państwa, bo to byłby etatyzm, czyli ojczyzna w niebezpieczeństwie.

Przy kanikule te interesujące sugestje księcia pana miałyby swoją wartość, gdyby nie to, że konserwatyści przeszli do opozycji w stosunku do rządu gen. Składkowskiego. Bo tylko w ten sposób można interpretować głośne „pytania" senatora Heimana-Jareckiego i nieobecność konserwatystów na Garden Party, urządzonej po zakończeniu sesji sejmowej.

Chyba że ta ostatnia okoliczność świadczy poprostu tylko o tem, że pp. konserwatyści są obrażeni i mogą w każdej chwili się przeprosić. No, ale jeśli tak, to zapewne będą musieli nieco poczekać na okazję. Niema nieszczęścia; mają „Czas", więc mogą czekać.

No i jeszcze jedna ściśle kanikularna wiadomość. Wiemy już jak ma wyglądać organizacja społeczeństwa, przygotowywana przez płk. Koca. A raczej wie to agencja „Press". Będzie więc to pogotowie antykomunistyczne w ramach Federacji Związków Obrońców Ojczyzny czyli... takie dawne (z przed wielu lat) S. S. S., lamistrejkowskie pogotowie b. kombatantów. Oczywiście, koncepcja tego rodzaju uśmiechałaby się naszej prawicy bez różnicy obozów politycznych. Przepędzony spod Myślenic „Boruta", zły duch rzeczywistości polskiej, zjawiłby się, jako skruszony grzesznik, w Warszawie na ul. Matejki, deklarując swoją, tym razem lojalną współpracę, lecz cóż, gdy słodka ta koncepcja przyśniła się tylko informatorowi agencji „Pres" w duszną, upalną noc letnią. A „sny nocy letnich" niezawsze się sprawdzają.

NOSTROMO

NOTATNIK GOSPODARCZY

Zawieszenie transferu obsługi długów

(r. p.). Zawieszenie transferu obsługi długów zarówno państwowych oraz samorządowych, jak i — generalnie biorąc — prywatnych, stanowi logiczną i najsłuszniejszą konsekwencję akcji rządowej, zmierzającej planowo do ochrony siły płatniczej i kapitałowej kraju. Poza korzyściami w postaci dalszego zahamowania odpływu złota z Banku Polskiego oraz w postaci zapewnienia równowagi bilansu płatniczego — zostaje w kraju znaczna rezerwa kapitałowa, która może być skierowaną do pracy na rzecz gospodarstwa polskiego.

Jak długo bowiem zagraniczni wierzyciele nie chcieli usług towarowych, mogących stanowić równowartość spłat pożyczkowych, tak długo transfer był niczem innem jak pompą, ssącą kapitały z gospodarstwa polskiego.

Ciężar, jaki spadał na gospodarstwo narodowe, które pracowało na obsługę wysoko oprocentowanych pożyczek — stanie się tembardziej wyraźny, skoro zważy się, iż w ostatnich latach zamarł prawie zupełnie ruch kapitałów do Polski, któryby mógł choć w części pokrywać ubytek kapitałów z tytułu ich opłacania, oraz któryby mógł dawać dewizy na transfer obsługi dawnych długów. Oczywiście, iż samo zawieszenie transferu, połączone z wpłatą spłat pożyczkowych na zablokowane konta złotowe nie będzie jeszcze stanowiło rozwiązania sprawy. Kapitał, w ten sposób wytworzony, będzie jednak albo kierowany do przemysłu lub rolnictwa w postaci zapłaty za towary, dostarczane krajom wierzycielskim (będzie to z reguły stosować się do krajów, z któremi mamy bilans płatniczy korzystnie kształtujący się, i w stosunku do których transfer nie będzie utrudniany), albo kierowany do inwestycyj, prowadzonych przez samych wierzycieli, albo tylko zwiększać będzie płynność danej instytucji kredytowej. Dla gospodarki polskiej nie jest pożądane, by odsetek kapitałów zagranicznych, lokowanych w przedsiębiorstwach w Polsce, wzrastał, jest natomiast rzeczą niewątpliwie pożyteczną i pożądaną, aby zablokowane kapitały służyły wzmożeniu aktywności życia gospodarczego poprzez towarową spłatę długów.

Antoni Wieczorkiewicz

Tadeusz Makowiecki i jego książka o Wyspiańskim

Na tegorocznem uroczystem posiedzeniu w dniu 13 czerwca b. r. Polska Akademja Umiejętności przyznała nagrodę imienia Probusa Barczewskiego dr. Tadeuszowi Makowieckiemu za wydaną w roku 1935 książkę o Wyspiańskim p. t. „Poeta-malarz"*). Wyróżniono przyznaniem nagrody nietylko najciekawszą niewątpliwie pracę z zakresu historyczno-literackich, opublikowanych w roku ubiegłym, ale pionierskie, oryginalne i w swoim rodzaju jedyne studjum w dziedzinie badań literackich.

Makowiecki bowiem pierwszy stawił sobie za zadanie oświetlić reflektorem metodycznego badania naukowego zazębienia i wzajemne oddziaływania w twórczości Wyspiańskiego dwóch dziedzin: poezji i malarstwa. Ograniczył temat swego obszernego studjum do najtrudniejszej do odczytania drogi, biegnącej linją stykania się dwóch niejako zakresów twórczości wielkiego artysty, dwóch jego sposobów wypowiedzi. Takie ujęcie swego zadania badawczego, takie podejście do tematu jest już samo przez się cenną zdobyczą. Wskazuje ponadto na predyspozycje badacza, który przez studjum dzieła artystycznego twórcy przeniknąć pragnie przedewszystkiem, w swem zamierzeniu ostatecznem tajemnicę człowieka. Bo nie poezja Wyspiańskiego i jego malarstwo jest tematem książki Makowieckiego — owocu nietylko metodycznych badań, ale przedewszystkiem bogatych i cennych przemyśleń — ale Wyspiański sam wypowiadający się raz w poezji, raz w malarstwie, zależnie od tego co i jak chce wypowiedzieć. Tezą i fundamentem pracy Makowieckiego jest, że twórczość poetycka i malarska Wyspiańskiego wyrasta w najdalszych sobie nawet gałęziach z jednego pnia dyspozycyj duchowych, z tego samego musu tworzenia. Dotarcie do istotnych źródeł z których wypływa twórczość zarówno poetycka jak i malarska Wyspiańskiego jest odkrywczą ambicją książki. Dotarcie do źródła, ujawnienie przyczyny — to przecież najistotniejszy motor kierujący myślą badawczą we wszystkich dziedzinach jednako, wysyłający ją zarówno na zgłębienie tajemnicy początku wielkich rzek, bezmiaru oceanów, kosmicznych przestworzy czy źródeł wegetacji drobnej roślinki, czepiającej się uparcie złomu skalnego, jak i na najtrudniejszy bodaj rekonesans w obszary myśli i ducha ludzkiego.

W każdem więc twórczem badaniu dzieła człowieka, dotarcie do człowieka jest celem najwyższym. Ten cel staje się tem trudniejszy do osiągnięcia, im bardziej skomplikowane i wielostronne jest dzieło twórcze. A Wyspiański należy właśnie do tych najbardziej skomplikowanych fenomenów, wypowiadających się równocześnie i równoważnie słowem i formą plastyczną. Ta wielostronność talentu, „renesansowa", jak się ją zwykło określać, jest zjawiskiem rzadkiem w okresie kultury kapitalistycznej, sprzyjającej raczej specjalizacji talentów. Zjawiskiem tem ciekawszem, jeśli chodzi, jak w tym wypadku, o twórcę, który w obu dziedzinach osiągnął wyżyny artystycznego wyrazu, — który, jak słusznie podkreśla Makowiecki, „przekształca wokół siebie prądy literackie, zmieniając prawa teatru i sceny, dając nowe typy dramatu, tworząc nowe, nieznane literaturze polskiej typy ludzi, wskazując nowe linje malarstwa, nowe horyzonty grafice książki, a ponadto, a ściślej przedewszystkiem regeneruje sumienie i wolę pokolenia, dając impuls życiu ideowemu całego narodu".

Wyspiański od najmłodszych lat swej twórczości przejawia ambicje „przeobrażenia słowa na linje". „Wrażenie jakie odbierał podczas czytania tego lub innego poematu — pisał Przybyszewski z powodu szkiców ołówkowych Wyspiańskiego do wierszy Maeterlincka — przetwarzało mu się w tej samej chwili na odpowiednią linję, przybierało całkiem „conforme" formę, napozór nic nie mającą wspólnego z poematem samym, a będącą w istocie samej najtajniejszym hieroglifem słowa".

To nie są ilustracje — to są w najgłębszym ujęciu słowa interpretacje. Ten charakter interpretacji zachowują nietylko ilustracje Wyspiańskiego do tekstów lirycznych, ale również i epickich. Tu opierają się one, jak np. w rysunkach do Iljady, na bardzo sumiennych studjach, poszukiwaniach, rozważaniach, które jednak nie sprowadzają artysty na drogę ilustracyjnego schematu. Pozostaje zawsze wnikliwym i głębokim interpretatorem tekstu poetyckiego przez dzieło malarskie.

Interpretatorem jest zresztą Wyspiański w całej swej twórczości, zarówno poetyckiej jak i malarskiej. „Wydaje się — pisze Makowiecki — że wobec dzieł literackich, gdy artysta słyszał bohaterów obcych poematów i widział, co się z nimi dzieje, występowało jeszcze pragnienie zobaczenia ich w pełni barw, przyswojenia sobie ich kształtu plastycznego. A wobec obrazów, gdy jedynie widział bohaterów — pragnął jakby jeszcze ich usłyszeć, wiedzieć, co się z nimi i w nich działo, przyswoić sobie ich treść wewnętrzną".

„Wreszcie o interpretacjach poetyckich Wyspiańskiego, podobnie jak o malarskich, można powiedzieć, że nie są fantastyczne kapryśne, ale nawet przy najdalej posuniętych domysłach wyobraźni opierają się o materjały i studja historyczne często bardzo sumiennie zgromadzone i przeprowadzone, — i harmonizują najpełniej z treścią dzieł, którym są poddane jako cel interpretacji". Ta potrzeba znajdowania odpowiednika malarskiego dla tekstu poetyckiego i odwrotnie, jest w Wyspiańskim tak silna, że, gdy nie znajduje dzieła obcego, sam niemal nieodmiennie wypowiada się wówczas na ten sam temat i w poezji i w malarstwie.

Nie miejsce tu oczywiście na streszczanie wywodu monografji Makowieckiego, na przytaczanie za nim przykładów dzieł malarskich polskich, czy obcych, które poeta poddawał swej interpretacji poetyckiej lub wedle których kształtował obrazy sceniczne swych dramatów; nie sposób tu również powtarzać ciekawego i zawsze niemal zupełnie przekonywującego toku subtelnych dowodzeń autora. Chodzi nam raczej o podkreślenie tych rysów naczelnych twórczości Wyspiańskiego, które Makowiecki wydobył z analizy jego dzieł z tak sugestywną plastyką słowa.

A właściwie owa zawzięta, nieustępliwa pasja interpretatorska artysty jest jednym z owych rysów naczelnych. Bo Wyspiańskiego obchodzi przedewszystkiem człowiek i jego tragedja. Nie przeprowadza swych bohaterów przez szablony konwenansu teatralnego, ale stara się im wydrzeć tajemnicę ich czynów i życia. Z pragnienia odgadnięcia rzeczywistości wypływa potrzeba nieoddalania się od niej, niezrywania z nią ścisłego związku, oparcia się o nią. To też do swych tematów i postaci dochodzi często Wyspiański od realnych śladów po nich zachowanych. Truchło Kazimierza Wielkiego czy trumna biskupa Stanisława — to są charakterystyczne punkty wyjścia.

To jest „realizm tematowy" Wyspiańskiego, jak go określa Makowiecki.

Natomiast w formie ekspozycji poeta jest jaknajdalszy od realizmu. Dąży przedewszystkiem do wydobycia rysów naczelnych, do wydobycia istoty zjawiska z pominięciem nieistotnych szczegółów, w dążeniu do skrótów, kondensacji. Rzeczywistość dotykalna jest punktem wyjścia artysty, z którego sięga po rozwiązanie rzeczywistości wewnętrznych, po wydobycie istoty zjawisk. W równym stopniu w poezji jak i w malarstwie. To daje monumentalność i zwartość dzieł Wyspiańskiego. Ale to również nie pozwala poecie w jego dramatach naprzykład przeprowadzać swych bohaterów przez kolejne szeregi poprzedzających moment akcji stanów uczuciowych. Dramat Wyspiańskiego rozgrywa się zawsze w najwyższych rejestrach konfliktów tragicznych i w sytuacjach już dojrzałych. Na psychologizowanie konstrukcja jego dramatu nie daje miejsca. To też „jeśli akcja za mało lub za wolno odsłania bohatera, poeta kreśli obok portretu realnego, imaginacyjny portret jego postaci duchowej". Stany psychiczne bohaterów są przedstawione lub raczej interpretowane przez postaci wprowadzone do akcji zzewnątrz. Nie są one jednak ani wyfantazjowane ani widzowi obce. Za bohaterami stają prawie zawsze postacie historyczne lub mitologiczne i to najczęściej w kształcie plastycznym już istniejącym i powszechnie znanym. Zstępują one — posągi greckich bogów i bohaterów — z postumentów na których stoją wykute w marmurze w salach glyptotek, zstępują one — postacie historyczne — również często z płócien obrazów głównie Matejki, w swej określonej wizji plastycznej.

Wyobraźnię Wyspiańskiego bowiem zapładniają jedynie dzieła twórczości wspaniałej, fakty i zdarzenia wielkie i potężne, w których z nadludzkich niemal konfliktów tragicznych człowieka wylania się życie; życie obnażone, odarte z konwencjonalnych szat i szablonów, które jest celem twórczości Wyspiańskiego, celem jego zamierzeń i poszukiwań.

Życie kojarzy się u niego z obrazem głowni płonącej, z obrazem płomienia, ognia. Tylko takie życie, trawione żarem, spalające się nieustannie i nieuchronnie, rozżagwione, wybuchające płomieniem jest życiem prawdziwem, wielkiem, heroicznem, a jednocześnie kryjącem w sobie najwyższą tragedję. Wszyscy bohaterowie Wyspiańskiego płoną tym ogniem, i przedstawiani są w momentach najwyższego żaru, w obliczu nieuchronnej zagłady — spopielenia, gdy człowiek wydobywa z siebie lot najwyższy i kształt nieśmiertelny, który pragnąłby przekazać wieczności, którym pragnąłby przezwyciężyć śmierć - martwotę.

I słusznie stwierdza Makowiecki, że „u Wyspiańskiego walka sił i wartości dodatnich z ujemnemi rozgrywa się przedewszystkiem między pierwiastkami życia i martwoty. Bój się toczy głównie o zwycięstwo życia, które jest samo przez się — o ile jest rozpłomienione i mocne — dobrem najwyższem". To nie są zmagania się wartości z dziedziny etyki, jak w ogromnej większości dzieł literatury świata. „Tylko momenty życia istotnego, momenty spalania się i przepalania godne są dzieła sztuki, wszelka reszta akcesoryjno - fabularna, nieistotna, martwa, winna być usunięta sprzed oka widza, jako niegodna poezji.

Z tego poglądu na życie wypływają konsekwencje artystyczne, tłumaczące i zespalające w konsekwentny obraz całą twórczość Wyspiańskiego zarówno literacką jak i malarską.

Nawet portrety dzieci i kwiatów, tak pozornie luźno związane z tragizmem dramatycznych przedstawień nie wyłamują się z całości. Portrety, w których malarz pomija tło i wszelkie akcesorja, jaknajbardziej zbliżając twarz portretowaną do widza, traktowane z pominięciem wszystkiego co nieistotne: szczegółów stroju, akcesorjów symbolicznych — dążą do wydobycia jak w dramatach, istoty portretowanej osoby. Są w najwyższym

*) Tadeusz Makowiecki: Poeta-malarz. Studjum o Stanisławie Wyspiańskim. str. 256. Ilustr. 24. Warszawa 1935. Nakładem Tow. Lit. im Adama Mickiewicza i Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska".

stopniu dramatyczne, taksamo jak w najwyższym stopniu dramatyczne i utragicznione są widoki na kopiec Kościuszki.

Jest rzeczą zadziwiającą, jak zupełnie uczeń Matejki odszedł w swem malarstwie od swego mistrza. Jak dramatyczność wielofigurowych wielkich kompozycji Matejki wyrażał zupełnie odmiennym językiem malarskim, w diametralnie przeciwny sposób. Bo spadek po Matejce, po malarzu — wieszczu narodowym rozwinął Wyspiański nie w swem malarstwie, lecz w swej poezji.

„Można stwierdzić bez przesady, bez obawy o nadużywanie wielkich słów, że berło „rządu dusz", które ze świata poezji, z rąk trzech wieszczów przeszło na linję malarską Matejki — dłońmi jego ucznia, dłońmi malarza, przeniesione zostało znów do świata poezji, do świata słowa w wielkich narodowych dramatach i rapsodach Wyspiańskiego. Można też stwierdzić, że to Matejko dźwigał w artyście lot i potęgę tworzenia".

Twórczość poetycka i malarska Wyspiańskiego, czasem pozornie różne, wypływają konsekwentnie z tego samego źródła: z poglądu poety na życie, jako płonącą głownię, jako ogień sam rozpalający, ale i przepalający.

A „co staje się płomieniem — nie podlega prawu ciążenia. Im pełniej rozpłonie jednostka, im szerzej krąg przepali żarem dokoła, tem wyżej wybiegnie, tem więcej porwie za sobą w świat wartości pozadoczesnych, metafizycznych, nieprzemijających, gdzie nie rządzą prawa materji. Bo nieśmiertelność, „wszystkość" świata zamknięta jest w każdej cząstce indywidualnej, w najdrobniejszej monadzie, ale nie jest „zogniona", stąd taka odpowiedzialność i najtrudniejszy obowiązek, a zarazem najzaszczytniejsza godność ciąży na tych wszystkich, nielicznych, w których „nieśmiertelność zogniono". Tylko tak się nad noc powstanie panując".

Takiem głębokiem ujęciem poglądu Wyspiańskiego na życie, poglądu przeprowadzonego konsekwentnie w całej jego twórczości, kończy Makowiecki swe studjum napisane, co podkreślić trzeba szczególnie, mową posłuszną myśli i godną poruszanych zagadnień.

Tyle luźnych raczej uwag niż recenzji, o książce tak zaszczytnie ostatnio wyróżnionej. Podkreśliliśmy już na początku trudności, które nasuwa badanie tak wielostronnego zjawiska artystycznego, jakiem jest twórczość Wyspiańskiego we wszystkich jej przejawach. Z pośród naszych badaczy literatury Makowiecki jest bodaj najlepiej do pokonania tych trudności przygotowany.

Łączy bowiem w swej osobie przygotowanie naukowe historyka literatury i historyka sztuki jednocześnie. A pozatem — może nawet przedewszystkiem — jest sam pisarzem i poetą klasy wysokiej. Wyrósł w pokoleniu, dla którego imponderabilia nie były świątecznym przystrojem ani literackim ornamentem, lecz konkretem takim, jakim jest chleb powszedni. Pisze się o nim: „młody badacz literatury", zapominając, że myśmy wcześnie zdobywali dojrzałość duchową.

Urodził się Tadeusz Makowiecki w roku 1900 w Warszawie. Wcześnie, w chłopięcych niemal latach, przechodzi przez szkołę tajnego skautingu, wcześnie wstępuje w szeregi organizacji „Zarzewiackiej". Kończy gimnazjum im. Mikołaja Reja. Wpływ szkoły... Oczywiście. Duży musiał być wpływ szkoły, w której uczył, dzieląc się z nami swą głęboką wiedzą, a podbijając nas szlachetnością myśli i wrażliwem sercem Tadeusz Kotarbiński, w której kult wielkości, bohaterstwa i cnót żołnierskich podtrzymywał w nas i zamiłowanie w analizie wielkich zjawisk twórczości poetyckiej budził nieodżałowanej pamięci jeden z twórców i pionierów zarzewiackiego ruchu, poległy śmiercią żołnierza Apolinary Krupiński.

Na Uniwersytecie studjuje Makowiecki historję literatury u Gubrynowicza i Ujejskiego oraz historję sztuki u profesora Batowskiego. Pracę doktorską pisze u pogranicza dwóch dyscyplin naukowych na temat: „Młodzieńcze poglądy Norwida na sztukę". Norwid i Wyspiański, obaj poeci-malarze, to główny temat jego prac z zakresu historji literatury. W pracach z zakresu historji sztuki poświęca odkrywcze studja badaniom z dziejów architektury XVII wieku w Polsce. Jego stosunek do poruszanych tematów jest nawskroś oryginalny i swoisty. Ma się wrażenie, że przez gąszcz badań metodycznych i historycznych, chce on dotrzeć przedewszystkiem do człowieka, do tajemnicy jego twórczości i do zagadki wieków.

Niezwykle pod tym względem charakterystyczne są jego ostatnie drobne rozmiarami, lecz fascynujące wnikliwością myśli i dojrzałością formy opracowania, trzy artykuły — szkice poświęcone tajemnicy wielkości Józefa Piłsudskiego. A mianowicie krótki wstęp pamięci Marszałka poświęcony w tomie III „Rocznika Literackiego" (przez redakcję tego „Rocznika" podany niewiadomo czemu anonimowo), artykuł „Cień Marszałka" drukowany w „Narodzie i Państwie" oraz szkic „Józef Piłsudski a nauka" w XXI tomie „Nauki Polskiej".

Te trzy utwory, zwłaszcza szkic ostatni, zdają się zapowiadać obszerniejsze studjum rysujące postać Marszałka na tle Jego stosunku do zagadnień kultury i nauki.

Jako krytyk dzieł literatury współczesnej Makowiecki odznacza się dojrzałością sądu i dążeniem do pogłębiania zagadnień, w polemice, tam gdzie uderza w napuszone zarozumialstwo lub małostkowość, bywa ostry, mimo uprzejmej formy, a sztychy jego pióra są bolesne i ranią niebezpiecznie (np. jego głos w „Marchołcie" w polemice Wasilewskiego i Cywińskiego o Norwida).

Zagadnienia życia współczesnego, współczesnej kultury i odpowiedzialności za nią przejmują go i zmuszają do głębokich przemyśleń. Rezultat tych przemyśleń zamyka niekiedy w formie logicznego wywodu („W sprawie ustalenia programu badań w dziedzinie kultury", Nasza Polska t. XV, 1932 r.), niekiedy w prześlicznym zawsze wierszu.

W zakończeniu tej pobieżnej z natury rzeczy i bardzo ułamkowej charakterystyki Makowieckiego nie sposób pominąć jego działalności w „Polskiem Radju" w charakterze prelegenta.

W swej wielostronnej działalności zdobył sobie Makowiecki nietylko laur za pracę naukową, ale również ważną pozycję w naszem życiu kulturalnem.

Z PRASY OBCEJ

Sąsiedzkie głosy

(J.W.) Do rzeczy przebrzmiałych należy już w prasie polskiej ocena sytuacji, jaka wytworzyła się w Polsce po majowej zmianie gabinetu. Wypaliły się ognie wyjątkowego zainteresowania. Każdy zdołał już wypowiedzieć swoje zdanie na ten temat.

Doniosły moment, w którym ster rządu ujął gen. Sławoj - Składkowski — jak to sam zaznaczył — z rozkazu Pana Prezydenta i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, nie uszedł oczywiście uwagi zagranicy. Po skleconych naprędce w pierwszych dniach po zmianie komentarzach *na chybił trafił, wykazujących* bardzo często brak orjentacji, nastąpiły zasadnicze, sążniste rozważania o charakterze gruntownej analizy sytuacji politycznej. Znaczenie ich jest oczywiście bez porównania większe, aniżeli znaczenie owych pierwszych, tchnących oficjalnością, komunikatów. Dobrze jest je śledzić, zwłaszcza że górują one zwykle nad rozważaniami publicystów i dziennikarzy krajowych dalszą perspektywą i spokojniejszemi nerwami.

Szczególnie żywe zainteresowanie dla rozwoju sytuacji w Polsce wykazują oczywiście Niemcy. Zacytuję głosy najważniejsze i najciekawsze.

W numerze czerwcowym czasopisma *„Ostland"*, organu Związku Niemieckiego Wschodu *(Bund Deutscher Osten)*, który skupia w swoim sztabie sporą liczbę znawców stosunków wewnętrznych w Polsce, zabrał głos na temat naszej sytuacji wewnętrzno-politycznej dr. Otto Kredel. Autor wnika w przyczyny majowego przesilenia gabinetu i dopatruje się ich głównie w negatywnym wyniku prób b. premjera Kościałkowskiego nawiązania kontaktu z pewnemi kołami opozycyjnemi, szczególnie z Radykalną Partją Chłopską(!) *„Poprzedni* — pisze Kredel — *ostry rozdział między obozem Piłsudskiego a grupami opozycyjnemi zaczynał się pod jego* (sc. b. premjera Kościałkowskiego) *rządem zacierać. Ideologja dawnego bloku sanacyjnego, dostosowana do osobowości Marszałka, była w okresie zaniku. Autorytet rządu był w niebezpieczeństwie"*. Premjera Składkowskiego nazywa autor *„politycznym eksponentem armji"*, a intencję „kół militarnych" w związku z jego wysunięciem określa jako wyraz dążenia, *„aby ściśle zespolenie dawnego bloku Piłsudskiego, jako politycznego wyrazu woli wszystkich państwowych elementów, zostało przywrócone"*. Przechodząc do stanowiska gen. Rydza Śmigłego stwierdza Kredel, że nie jest zamiarem naczelnego wodza mieszanie armji do polityki, że raczej — zgodnie z zapowiedzią — wda się w nią sam tylko, gdy zajdzie tego potrzeba. Wszystkie resorty rządu stają z tą chwilą pod znakiem polityki obronności kraju. I tu kończy autor wnioskiem następującym: *„W trosce o armję niema żadnych wewnętrznych rozbieżności w Polsce. W tej kwestji jest również opozycja gotowa do każdej ofiary. Armja jest płaszczyzną, na której najostrzejsze rozbieżności poglądów mogą być uciszone... W tem leży szansa polityczna nowego rządu"*.

Od tego optymistycznego tonu oceny odbiega dosyć zasadniczo artykuł Peter-Heinza Seprahim'a [1]) p. t. „Polens Weg vom Parlamentarismus zum autoritären Staat" („Droga Polski od parlamentaryzmu do państwa autorytatywnego"), zamieszczony w numerze czerwcowym *„Volk und Reich"*, czasopisma o ustalonej opinji w problemach polityki zagranicznej. Autor przechodzi retrospektywnie koleje parlamentaryzmu polskiego, przełom majowy, reformy ustrojowe, popełniając cały szereg błędów faktycznych. Nie to jest jednak najważniejszą częścią wywodów Seraphim'a. Omawiając sytuację, wytworzoną po śmierci Wielkiego Marszałka, stwierdza autor, że Józef Piłsudski nie pozostawił po sobie jednolitego spadkobiercy. Spadek odpowiedzialności za losy państwa dostał się w ręce Prezydenta R. P., gen. Rydza Śmigłego, a w pewnym nawet zakresie w ręce każdorazowego premjera, oraz urzędującego jeszcze z czasów życia Marszałka ministra spraw zagranicznych. W obecnym obozie prorządowym wyróżnia Seraphim trzy zasadnicze grupy: 1) *grupę legjonistów*, którą utożsamia z grupą pułkowników, a której przywódców widzi w pułkownikach Sławku i Matuszewskim — cechą jej jest — według autora — roszczenie do tytułu „prawdziwych" Piłsudczyków, oparte na woli kontynuowania idei państwa autorytatywnego, 2) *grupę nowatorów („Neuerer")* z b. premjerem Kościałkowskim, wicepremjerem Kwiatkowskim i ministrem Poniatowskim na czele, która widzi — zdaniem Seraphima — swoje główne zadanie w zaktywizowaniu życia gospodarczego przy pomocy reform i wykazuje oblicze wyraźnie socjalne, reformistyczne i przyjazne wobec małej własności rolnej, 3) *grupę konserwatywną*, która — jak to powiada autor — odbiega znacznie od programu gospodarczego obecnego rządu, jednocześnie jednak pozostaje w pewnem przeciwstawieniu do ujęcia państwa autorytatywnego, przyjętego przez grupę pułkowników. Kończąc, wysuwa Seraphim jako największy i najgroźniejszy problem, stojący przed obozem Piłsudczyków, *sprawę młodzieży. Twierdzi on stanowczo, że większość i to większość bardziej wartościowa młodzieży polskiej jest skłócona z koncepcją państwa autorytatywnego i że znajduje się w szeregach opozycji. Postawę tej młodzieży określa jako społecznie radykalną, antysemicką i mocarstwową w znaczeniu narodowem.*

Wreszcie trzeci ciekawy głos niemiecki o sytuacji politycznej w Polsce przyniósł oficjalny organ partji hitlerowskiej, *Völkischer Beobachter* (nr. 170) w artykule p. t. „Der zweite Start — Polen auf dem wege zum Militarstaat?" („Drugi start — Polska na drodze do państwa militarnego?").

[1]) Jeden z współpracowników królewieckiego Instytutu Wschodniego — Ostland-Institut.

Autor tego niezmiernie ciekawego artykułu przykłada olbrzymią wagę do majowej zmiany gabinetu. Spoglądając na rzecz od strony wojska i armji, przyrównuje tę zmianę do rewolucji majowej 1926 r.(!). Gabinet poprzedni premjera Kościałkowskiego uważa za gabinet eksperymentalny, który miał doświadczyć, czy społeczeństwo dojrzało do większych swobód. Próba wypadła — zdaniem *„Volkischer Beobachter"* — zdecydowanie negatywnie. Powrócono tedy do metody Marszałka, metody osobistego autorytetu z tą tylko różnicą, że osobisty autorytet trzeba będzie z konieczności zastąpić autorytetem jakiejś grupy. I tu zadaje sobie pismo pytanie — *grupa społeczna czy wojsko wzgl. jego ośrodek przodowniczy? „Volkischer Beobachter" zdradza wyraźny brak wiary w możność zorganizowania społeczeństwa polskiego i wyłonienia z niego silnego ośrodka politycznego.* Odrzuca kategorycznie możliwość wyłonienia jakiegokolwiek frontu wespół z częścią opozycji, przedewszystkiem dlatego, że każdy taki front sprowadzi — jego zdaniem — falę nowych zadrażnień wewnętrznych. Co się zaś tyczy możliwości wytworzenia nowego ruchu, to zasadniczą przeszkodę widzi *w postawie młodzieży, która — zdaniem pisma — nie jest jeszcze skłonna do zrezygnowania z części jej radykalnego programu na rzecz jakiegoś zrównoważonego środka.* Pozostaje tedy armja, znakomicie postawiona psychicznie przez Wielkiego Marszałka. *„Volkischer Beobachter"* konkluduje: *„Generał Sławoj-Składkowski miał rację, że duch Marszałka żyje jeszcze w Polsce. Piłsudski nie pozostawił żadnego programu, pozostawił jednak pewną metodę podchodzenia do rzeczy, która weszła jego chłopcom w palce. Skoro w Polsce trudna do pomyślenia jest światopoglądowo zamknięta grupa narodowa, pozostaje jej na przyszłość jako lepsza droga tylko rząd w formie władania poprzez autorytet. Autorytet osoby zniknął ze śmiercią Piłsudskiego. Ubiegły rok czerpał jeszcze z jego ducha. Dziś musi autorytet grupy przeniknąć rządy. Jedyną grupą, która na polu polityki polskiej wyposażona jest w wszechogarniający autorytet, pozostanie narazie armja. To jest rezultat ukończonego, polskiego kryzysu wiosennego".*

Trzy omówione głosy niemieckie pochodzą z różnych ośrodków publicystycznych, dysponujących różnemi kołami informacyjnemi. Tembardziej uderzającą musi być zasadnicza zgodność pewnych kierunkowych oceny polskiej sytuacji wewnętrzno-politycznej. Wszystkim tym głosom właściwe są następujące wspólne cechy: 1) patrzenie na rząd poprzedni, b. premjera Kościołkowskiego, jako na eksperyment wolnościowy w stosunku do społeczeństwa, który nie dał wyników pozytywnych, 2) podkreślenie znaczenia środowiska wojskowego w kształtowaniu dróg polityki polskiej, 3) zaakcentowanie *braku w Polsce silnego ośrodka społecznego, zdolnego do dźwignięcia odpowiedzialności za całość narodu i państwa,* wreszcie 4) wysunięcie sprawy młodzieży jako podstawowej trudności przy krystalizowaniu tego ośrodka.

Z TYGODNIA

Nowosielce

Związanie odległych fragmentów naszej bohaterskiej przeszłości z rzeczywistością dnia dzisiejszego ma szczególną wagę w chwili, gdy hasło obronności narodu musi przeniknąć najszersze masy. Pod tym względem Nowosielce zrobiły więcej, niż najpiękniejsze i najbardziej porywające słowa. Przyjazd Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych na uroczystości chłopskie, udział w święcie bohaterstwa chłopskiego wysokich dostojników państwowych i wojska polskiego — był bardziej przekonywujący, niż jakakolwiek agitacja prasowa czy odezwowa.

Można rozmaicie zapatrywać się na zewnętrzne okoliczności Wielkiego Zjazdu Chłopskiego. Niewątpliwie Zjazd nadużyty był politycznie przez Zarząd Główny Stronnictwa Ludowego dla manifestacji o charakterze odmiennym, aniżeli przewidywały to programy pierwotne. Nie może to jednak prowadzić do łatwych wniosków i do lekceważenia pozytywnej wartości faktu wspólnego uczczenia chłopa-żołnierza przez chłopów przeworskich i przez najwyższych reprezentantów armji. Chłop w Polsce ma wiele powodów do uzasadnionej często pretensji o niedocenienie jego istotnej roli w całości naszego życia państwowego i społecznego. Dobrze, że zgromadzeni w tak olbrzymiej liczbie chłopi przeworscy widzieli na własne oczy złożenie wieńca o barwach Virtuti Militari na kopcu chłopskiej chwały, widzieli defilujące przed tym kopcem oddziały wojskowe i ich najwyższego dowódcę. Widzieli, że mimo długoletniego budzenia wrogich nastrojów, znajduje się wspólny język z tą odległą „górą", że istnieje wspólna platforma, na gruncie powszechności obowiązków walki o Polskę.

Wielką doniosłość ma fakt, że poraz pierwszy od wielu lat olbrzymie masy chłopskie spotkały się nie pod znakiem negacji, ale w budującym obchodzie o gólnopolskiem znaczeniu.

A równocześnie — jeśli przy tej sposobności wypłynęły ze strony przywódców mas chłopskich postulaty, wykraczające poza przewidywane ramy uroczystości, jeśli poza momentami hołdu dla chłopskiego bohaterstwa w przeszłości i ślubowaniami dzisiejszej gotowości bojowej — zjawiły się i inne akcenty, akcenty o charakterze aktualno-politycznym, to i tego zjawiska tylko potępić i zlekceważyć nie można. Są tutaj dwa zagadnienia odrębne, choć blisko związane: 1) wyrachowania i interesy Stronnictwa Ludowego, 2) niepokoje masy chłopskiej, wynikające z troski o należyty stosunek Państwa do najliczniejszej kategorji jego obywateli. Pierwsze muszą być traktowane z daleką idącą rezerwą, drugie — z pełną życzliwością i gotowością do wydobycia z nich treści istotnej i pozytywnej. Musimy pamiętać, że i dziś—podobnie jak przed stu laty, a może w wyższym jeszcze stopniu — musimy dbać o wytworzenie w Polsce takiego stanu, przy którym istotnie nie mniejszość, ale większość byłaby u nas narodem politycznym, świadomym praw i obowiązków.

Po Święcie morza

Tegoroczne Święto morza miało szczególnie uroczysty charakter. Wzmożona świadomość potrzeb państwowych wobec zmienionej sytuacji międzynarodowej, przenikające w najszersze masy hasła dozbrojenia Polski i obronności Narodu, umiały znaleźć swój oddźwięk w tym dniu, gdy oczy wszystkich zwrócone były na morze. Sztandarowe hasło „Morska brama nie obroni się sama" było w tych dniach najsilniej w świadomości każdego Polaka przeżywanym pewnikiem.

Wielkie uroczystości morskie dały w tym roku jeszcze jeden dowód zdolności żywego reagowania naszego społeczeństwa na nakazy dnia, szczerego przywiązania do idei morskiej i możliwości wykrzesania olbrzymich sił, gdy chodzi o wielkie cele. Świadczyła o tem Gdynia i Warszawa, ale świadczyły również najmniejsze miasta i miasteczka — te może nawet silniej i bezpośredniej, niż bardziej „uroczysta" w charakterze stolica.

Równolegle do ogólnopolskich uroczystości morskich, odbyła się na Kaszubszczyźnie wzruszająca uroczystość złożenia hołdu pamięci wielkiego Polaka z ludu kaszubskiego, Antoniego Abrahama. Nasze grzechy wobec ludu kaszubskiego nie były drobne. Do tego ludu przez tyle lat konsekwentnie niemczonego i odsuwanego od Polski, nie podeszliśmy po odzyskaniu wybrzeża z serdeczną życzliwością. Niezrozumienie odrębnej psychiki Kaszubów, nieufność do zewnętrznie niemczonego ludu, nieudolność postępowania „wielkich polityków" na tym trudnym terenie — pozostawiły ślady na stosunku Kaszubów do Państwa Polskiego. Nie wolno nam dzisiaj tych grzechów powtarzać! Trzeba pamiętać o tem, że na Pomorzu wciąż jeszcze działa podziemna antypolska propaganda, która nie omieszka wykorzystać tych faktów dla swoich celów.

To też z całą radością i uznaniem należy podkreślić żywy, serdeczny stosunek naszej floty do ludności wybrzeża. Zjednoczenie się najwyższych dostojników polskiej marynarki wojennej z ludem kaszubskim w hołdzie dla nieustraszonego bojownika o polskie Kaszuby, oficjalny udział marynarki w święcie wybrzeża — dały Kaszubom argument dla odparcia podszeptów o niezrozumiałej obojętności Polski dla ich spraw.

Kto nie płaci podatków

Na marginesie ostatniej burzliwej dyskusji senackiej, specjalnej wymowy nabierają fakty, podane w Nr. 23 „Samorządu", wychodzącego w Warszawie tygodnika, poświęconego sprawom samorządu terytorjalnego. W artykule p. t. „Moralność podatkowa mniejszej i większej własności ziemskiej", autor zestawia dane, z których wynika, że mniejsza własność rolna płaci podatki naogół regularnie i że w wielu gminach i wsiach zapłaciła ona nawet 100% swych zobowiązań. Znacznie gorzej przedstawia się pod tym względem własność wielka. Jej właściciele, choć posiadają szereg źródeł dochodu, choć korzystają z wielkiej ilości kredytów, a — jak twierdzi autor — „nierzadko posiadają nawet gotówkę w bankach, pomimo, że czasy dzisiejsze zdają się nie uprawniać do podobnych przypuszczeń", dopuszczają do wielkich zaległości podatkowych i nie okazują specjalnej chęci do wybrnięcia z nich. Należności płacą tylko pod przymusem, „zjawisko dobrowolnych wpłat zaczyna być coraz bardziej wyjątkiem".

Na poparcie powyższych twierdzeń Autor daje szereg przykładów: I tak według danych za rok budżetowy 1934/35 w jednym z powiatów województw centralnych sytuacja przedstawiała się następująco: gospodarstwa drobne zajmowały $^2/_3$ obszaru powiatu, większe $^1/_3$. W roku budżetowym preliminowano wpływy podatków i opłat komunalnych na zł. 549.000. Otrzymano, naskutek spłat zaległości — 569.000 zł. Uzyskane wpływy dotyczyły w 85% drobnej własności i w 15% większej. Jeśli więc uwzględnić, że w danym powiecie obszar należący do wielkiej własności wynosił $^1/_3$ całej przestrzeni i że istnieje system progresji podatkowej dla większych gospodarstw, — wynika, że większa własność zapłaciła najwyżej 33% należnych podatków, podczas gdy drobna własność, poza podatkami bieżącemi, zdołała spłacić część zaległości z ubiegłych lat. Przykład dotyczył jednego z wzorowych powiatów danego województwa, w innych sytuacja ogólna była gorsza, jednakże proporcja między wypełnianiem obowiązków podatkowych przez wielką i małą własność przedstawiała się naogół identycznie.

Obok przykładów ogólnych autor podał kilka wypadków indywidualnych, świadczących o wielkiem zadłużeniu podatkowem większej własności. Naprzykład:

1) Majątek o obszarze 2.017 ha. Zaległości podatkowe wynoszą zł. 527 tys.

2) Majątek o obszarze 534 ha. Zaległości podatkowe do listopada 1934 r. wynoszą zł. 647 tys. Na terenie majątku znajduje się szereg zakładów przemysłowych, a mianowicie: młyn parowy, tartak, gorzelnia, rektyfikacja i t. d. Wysoka klasa ziemi.

3) Majątek 469 ha. ziemia I klasy. Zaległości podatkowe około zł. 232 tys. plus zaległości służbie, z tytułu świadczeń socjalnych i t. d. Dług Tow. Kredytowego Ziemskiego zł. 250 tys. i t. d. i t. d.

Powołując się na powyższe przykłady, jak i na szereg innych wypadków, w których zobowiązania podatkowe nie były regulowane od szeregu lat, poza niektórymi nikłemi stosunkowo wpływami, osiągniętemi w drodze przymusowej, autor stwierdza, że ma tu często miejsce świadome „ignorowanie elementarnych zasad przyzwoitości i moralności dłużników" oraz zamyka swoje wywody następującą konkluzją: „wszyscy odczuwamy boleśnie konsekwencje niedoborów budżetowych. W dążeniu do ustalenia przyczyn tego stanu — miejmy odwagę spojrzeć prawdzie w oczy".

PRZEGLĄD PRASY

Po wypadkach myślenickich

Wypadki myślenickie długo jeszcze pozostaną w centrum najżywszego zainteresowania społeczeństwa. Niezrozumiały, bezsensowny wyczyn przywódcy endeckiego, któremu zamarzyły się laury rewolucji, ma swoją smutną wymowę w zestawieniu z długim szeregiem napadów, zamachów i aktów terorystycznych, przygotowanych przez nieodpowiedzialną zbrodniczą akcję Stronnictwa Narodowego.

Nad Myślenicami, jako odosobnionym wypadkiem, możnaby przejść do porządku, przyjmując tezę o niepoczytalności „wodza" Doboszyńskiego; Myślenice na tle Kościana, Wyrzyska, Odrzywoła — są jaskrawym dowodem konieczności natychmiastowej reakcji władz i całego społeczeństwa.

„POLSKA ZBROJNA", omawiając wypadki myślenickie, zestawia dokonywane przez endeków pod supernarodowemi hasłami akty terroru z wywrotową robotą czynników komunistycznych.

„Niewątpliwie w celach stronnictwa narodowego, podobnie jak i komuny, leży tworzenie ośrodków zapalnych w całem państwie, a następnie drogą ewolucji od pojedynczych ekscesów do gromadnych zamieszek, napadów na policję i władze administracyjne — próby tworzenia dogodnych sobie możliwości politycznych. Być może, w ten sposób stronnictwo narodowe roi swe górne sny o potędze i pragnie hartować młode pokolenie „w walkach wolnościowych" wzorem minionego okresu historycznego. Niestety, przeciw swoim, nie obcym — ze spekulacją na pobłażliwość rodaków".

W zestawieniu tem dochodzi do wniosku, że

„z naszego punktu widzenia, punktu zwartości i mocy państwa, w imię obrony narodowej, działalność podżegacza, czy bombiarza ze stronnictwa narodowego jest również szkodliwa, jak agitatora kominternu, czy jego współpracowników, działających planowo i celowo na szkodę naszego państwa".

W związku zaś z wypowiedzią premjera Składkowskiego „Polska Zbrojna" pisze:

„Słusznem jest, aby za działalność członków i jednostek organizacyjnych stronnictwa odpowiadały jego władze najwyższe. Nie byle bezrobotny najmita, nie otumaniony wyrostek, czy pomniejszy nawet leader, ale faktyczni przywódcy, zadekowani na politycznym „hinterlandzie", wolni od trosk i uczuć, nękających tamtych — w szeregach".

Najbardziej surowe środki represji powinny znaleźć tu zastosowanie.

„Wyjątkowe czasy wymagają wyjątkowo jasno i konsekwentnie sprecyzowanych metod. Na luksus burd i krwawych awantur królewiąt politycznych nas dzisiaj nie stać".

Naśladowanie komunistycznych form działania w akcji Stronnictwa Narodowego podkreśla również „GAZETA POLSKA":

„Międzynarodówka komunistyczna — pisze — postawiła sobie za zadanie, aby dążyć do trwałego osłabienia państw od niej niezawisłych przez sianie rozterek wewnętrznych, przez doprowadzenie ich do takiego stanu, aby w każdej chwili, na sygnał Kominternu, można było w nich wywołać wojnę domową. Agenci Kominternu u nas nie byli w stanie osiągnąć zbyt wiele. Planowo i systematycznie dążyli do wywoływania zatargów, starć, starali się przy każdej sposobności nadać im krwawy obrót. A co usiłują robić od szeregu miesięcy panowie z pod znaku Stronnictwa Narodowego? Zaiste sukurs niespodziewany i owocniejszy, niż nieudany u nas „front ludowy"... Wojna domowa w Polsce — oto marzenie Kominternu. A do czego prowadzi propaganda tajnych agentur Stronnictwa Narodowego — do czego prowadzą jego praktyki, których imię: Kowiesy, Odrzywół, Kościan i wreszcie — Myślenice?

Literatura propagandowa bolszewicka wprowadziła do Panteonu swych bohaterów „towarzysza" Jakóba Szelę. Następnym będzie prawdopodobnie towarzysz Adam Doboszyński, prezes „Stronnictwa Narodowego" na powiat krakowski".

„KURJER PORANNY" szczególny nacisk kładzie na konieczność wyplenienia z naszego życia źródeł bandytyzmu politycznego, operującego najzwyklejszem przestępstwem i pospolitą zbrodnią, jako narzędziem działania politycznego czy społecznego.

„W wolnem państwie jest miejsce na najbardziej nawet zacięte walki idei, poglądów i zasad — lecz nie powinno znaleźć się pobłażania dla zwykłego bandytyzmu, okrywającego się maską działalności politycznej czy społecznej".

Przypominając ponury rejestr wyczynów endeckich w ciągu kilku ostatnich miesięcy, „Kurjer Poranny" wskazuje na konieczność natychmiastowego wypalenia źródeł tej akcji.

„Ostatni operetkowy, czy filmowy zamach w Myślenicach, mający coś z charakteru szlacheckiego zajazdu w połączeniu z napadem gangsterskim nie pozwala już dłużej łudzić się, że Stronnictwo Narodowe zdolne jest opamiętać się i zejść z platformy zbrodniczego warcholstwa".

„EXPRESS PORANNY" pisze:

„Idea narodowa, jako idea podporządkowania interesów jednostkowych, grupowych i klasowych ogólnemu interesowi narodu; jako idea żywej łączności z tradycją i pracy dla pokoleń przyszłych, powinna być siłą twórczą, pobudzającą energję mas, czyniącą je zdolnemi do ofiar i poświęceń.

Tem większą klęską naszego życia publicznego jest, że monopolistami idei narodowej chcą być u nas ci, którzy głosząc jej wielkość i znaczenie, równocześnie poniewierają ją czynami swemi".

„Dyktator" Doboszyński, napadając na starostwo i posterunek policji, nie zdobył żadnych laurów dla swojej partji.

„Jedno osiągnął z pewnością: raz jeszcze idea narodowa została sponiewierana i skompromitowana".

Prasa żydowska łączy wypadki myślenickie z ogólną linją postępowania Stronnictwa Narodowego, wyrażającą się w krwawych burdach, bójkach, zamachach bombowych i t. d. „HAJNT" podkreśla przytem ścisły związek ekscesów antyżydowskich z tą właśnie linją ogólną, wydobywającą z ciemnej masy najdziksze instynkty walki, która zmienia objekt w zależności od warunków.

„Niepohamowana samowola przeciw Żydom i terror muszą doprowadzić do meksykańskich stosunków, do ogólnej anarchji w kraju, do zniszczenia wszelkich podwalin prawnych w państwie. Swoboda w rabunkach, kradzieżach i gwałtach nie ograniczy się i nie zadowoli się wyłącznie mieniem żydowskiem. Od Żydów się zaczyna ale na Żydach się nie kończy"...

Podobną tezę wysuwa w „MOMENCIE" dr. Gottlieb, który widzi zacierającą się granicę pomiędzy akcją antyżydowską, walką z władzą państwową i zwykłym bandytyzmem.

„ROBOTNIK" w artykule K. Czapińskiego wskazuje na bezwzględne dążenie endecji do władzy. W walce tej posługuje się ona wszystkiemi środkami, idzie per fas et nefas — byle prędzej do celu.

„Ostatni „trick" endecji — to dziki wrzask na temat „niebezpieczeństw" „żydo - komuny". Precz z lewicą, bo toruje drogę „żydokomunie", rozbija naród, prowadzi do rewolucji; i to w obliczu „wroga zewnętrznego". Byli tacy, co wierzyli.

Ale czem że jest atak na Myślenice, zdemolowanie mieszkania starosty, porwanie karabinów i t. p. jeśli nie cząstką nieudanej rewolucji?

„...Poćóż więc bredzić o niebezpieczeństwach wojny domowej, skoro samemu się organizuje wojnę domową?! A może wojna domowa „nalewo" — niedobra, a „naprawo" — godna pochwały i uznania? „Naród"... ach, jedność „narodowa"! A karabiny — przeciw komu?"

Nie może jednak „Robotnik" powstrzymać się od zwykłych swych żalów. Dowodzi, że powodzenie akcji endeckiej w tłumach wiąże się ściśle z dzisiejszemi warunkami życia większości społeczeństwa.

„Podobne niezwykłe fakty nie mogłyby „zaistnieć", gdyby w społeczeństwie nie było głębokiego fermentu na tle nędzy i bezrobocia. Niepodobna wszystkiego przypisać „intrydze" endeckiej. Pomysły a la Doboszyński rodzą się tylko w atmosferze ciężkiej, wśród nastrojów rozpaczy. Gdy niema niezależnego głosu ani w Sejmie ani w Senacie, gdy ludność nie może wypowiedzieć swych trosk i walczyć o ich zagłowę i głos znachorzy i „wodzołatwienie, wówczas to podnoszą wie" typu p. Doboszyńskiego".

Z największem zainteresowaniem szukaliśmy głosów prasy endeckiej. Jakże wytłumaczy bandę opryszków, walczących pod jej sztandarami? Jak będzie starała się uzasadnić nowy hurra-patrjotyczny wyczyn? Prasa endecka zachowała jednak pełne rezerwy milczenie. Nie zamieściła własnego sprawozdania z przebiegu wypadków, ograniczając się do przedruków z „prasy nieskonfiskowanej" (jak wyraźnie podkreślono) — i unika dyskusji. Rzecz zrozumiała, że to jest jedyna jej droga.

Jedynym odważnym jest „GONIEC WARSZAWSKI", który pokusił się o pewnego rodzaju obronę „tragedji myślenickiej", przypominając o osobie jednodniowego wodza rewolucji endeckiej, A. Doboszyńskiego, że jest on autorem książki p. t. „Gospodarka Narodowa", która wywarła „poważny wpływ na kształtowanie poglądów gospodarczo - społecznych młodego pokolenia".

„W książce swej ukazuje się nam Doboszyński jako człowiek głębokiej wiary o podkładzie mistycznym. Swój program gospodarczo-społeczny buduje na nauce św. Tomasza z Akwinu w ramach surowej i bezkompromisowej moralności chrześcijańskiej.

Najbardziej ostra analiza nie wykryje w sylwetce duchowej autora „Gospodarki Narodowej" śladów rewolucyjnego faszyzmu. Przeciwnie! W charakterze autora ukazuje się nam Doboszyński raczej jako pełen idealizmu nowoczesny krzyżowiec, który w nauce społecznej św. Tomasza szuka nowej syntezy między światem wolności a twardemi koniecznościami przebudowy gospodarczo-społecznej w myśl zasad sprawiedliwości i etyki chrześcijańskiej".

„Goniec Warszawski" nie poprzestaje na podkreśleniu tylko „tomistycznego charakteru filozofji chrześcijańskiej Doboszyńskiego. W dalszym ciągu artykułu daje on jeszcze następującą charakterystykę współczesnego endeckiego krzyżowca.

„Od lat, zrośnięty z wymarzoną i wypracowaną przez siebie wizją przyszłości, żył Doboszyński w nieustannem oczekiwaniu i gorącze czynu, który obudzić miał cały naród. W opanowanym jedną myślą mózgu każdy dzień wysłuchiwał coraz głośniej alarmistyczne wezwania: już czas ostatni, obudzić naród polski z marazmu i apatji! Na co czekamy?

I Adam Doboszyński nie wytrzymał męki czekania na wymarzoną chwilę odrodzenia i jedności narodu. Jakiejś bezsennej nocy przyszła chwila załamania się wewnętrznego, a za nią niezrozumiały, bezsensowny, niepojęty odruch".

W tem ujęciu godzi się żydowska ocena wypadku z tłumaczeniem „Gońca". Obie wskazują na jedno: rozpalając ogniska nienawiści, podniecając do ostatecznych granic instynkt walki i niszczenia, nigdy nie można przewidzieć czem się to skończy.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rach. 771 ,lub 2) — blankietem nadawczym P.K.O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10 — 11, środy godz. 17 — 18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10 — 14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: Adam Andrzejewski

Z. A. Z. C. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, tel. 643-33 w dzierżawie Sp. Wyd. Czasopism, Sp. z o. o.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem